

HARDE DUSZE





ZYGMUNT SARNECKI.



Marde dusze

Sztuka w pięciu aktach

podług powieści

ELIZY ORZESZKOWEJ

p. t. „BENE NATI“.



NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ.

[1897]

(Bibl. Krak. 317-318)

Zastrzegają się prawa autora w obec scen.



197838

Z Drukarni Narodowej F. K. Pobudkiewicza w Krakowie.

O S O B Y :

FLORYAN KULESZA, dzierżawca Laskowa.

TEOFILA, jego żona.

AURELIA, }
KAROLKA, } ich córki.

ERZY CHUTKO, leśniczy w dobrach książęcych.

KONSTANTY OSIPOWICZ, szlacheć zagrodowy.

OKTAWIA PANCEWICZOWA, }
BARBARA ZANIEWSKA, } siostry Konstantego.
ANNA KOŃCOWA, }
SALOMEA OSIPOWICZÓWNA, }

BOLESŁAW PANCEWICZ, mąż Oktawii.

DOMINIK ZANIEWSKI, mąż Barbary.

GABRYEL OSIPOWICZ.

MICHAŁ OSIPOWICZ, stryjeczny brat Konstantego.

EMILIA, jego żona.

KAZIMIERZ JAŚMONT, szlacheć zagrodowy.

ONUFRY CYDZIK, bogaty szlacheć zagrodowy (rola niema).

WŁADYSŁAW CYDZIK, syn Onufrego.

PIERWSZA DRUŻKA.

DRUGA DRUŻKA.

ADAM STRUPIŃSKI, }
LEON WIERCIŁŁO, } szlachta zagrodowa.

GRZEGORZ, leśnik.

MIKOŁAJ CHUTKO, ojciec Jerzego.

ZOFIA CHUTKOWA, matka Jerzego.

ANTEK, }
PIETREK, } (nieme role).

POSŁANIEC z miasteczka.

PAROBEK KONSTANTEGO.

MAGDA, kucharka Kuleszów (niema rola).

LEŚNIK I.

LEŚNIK II.

Szlachta zagrodowa, parobcy, służba żeńska i męska w Laskowie i Tołłoczkach. Włościanie i włościanki.

Rzecz dzieje się w akcie I, III i V w Laskowie, w aktach II i IV w Tołłoczkach.

AKT PIERWSZY.

Duży podwórzec folwarczny w Laskowie. W głębi, na lewo od drzew owocowych sadu, dworek szlachecki z gankiem, do którego wiodą schodki kamienne. Z prawej mała oficyna z kuchnią, ledwie z boku widzialna. Z lewej strony (zagłębiona w kulisy) duża szopa otwarta, na słupach. W niej wozy, brony, grabie i inne narzędzia gospodarcze. Obok szopy stajenka i obora. Między budynkami wszędzie płoty z chrustu. Z prawej strony w głębi furtka do sadu. Bliżej widzów po lewej stronie leżą duże kłoc drewna ściętych, pnie, oraz nieco ociosanych bali i belek. W środku podwórza, ku prawej stronie, studnia z szerokim drewnianym ocembrowaniem i kołem do ciągnięcia wiadra na łańcuchach. Pod studnią kilka kamieni. Na prawo (zagłębiona w kulisy) stodoła z małym piętrowym śpichlerzem i maneżem do młóćarni konnej. Od stodoły ku pierwszemu planowi ciągnie się płot z żerdzi i chrustu, w pośród którego duże, stare wrota z daszkiem, obecnie na rozcież rozwarłe.

Parobcy i dziewczki folwarczne kręcą się w ciągu pierwszej sceny, to w jedną, to w drugą stronę. Reżyserja powinna wytworzyć, przez cały niemal akt (prócz sceny ostatniej), ruch i żywienie na drugich i trzecich planach. Floryan Kulesza i Jerzy Chutko siedzą przy sobie na jednej kłodzie. Przy Jerzym leży, oparta o pień, strzelba myśliwska.

SCENA PIERWSZA.

FLORYAN KULESZA, JERZY CHUTKO.

Kulesza (*śmiejąc się*). Więc nam panie Jerzy wymawiasz wikt, mieszkanie i opierunek... i wynieść się pragniesz z Laskowa na leśniczówkę?

Jerzy. Za trzy tygodni; bo za dwa chata w leśniczówce będzie gotowa; za sześć — daj Boże doczekać — mój ślub z Salusią. A przecież muszę przybrać i przystroić gniazdeczko na przyjęcie takiego ślicznego ptaszka!

Kulesza. Ha! słyszałem, słyszałem... Ponoć istotnie bardzo ładna.

Jerzy. Cudna!... Figurkę ma piękną i twarz do róży podobną, ale ze wszystkiego najosobliwsze oczy, głębokie, gorejące, skier pełne. Jak żyję nie widziałem takich u innej.

Kulesza. No! bo i nie długo żyjesz mój chłopcze! Młokos jeszcze z waszeci, co się zowie młokos, kochany panie Jerzy.

Jerzy. Przed panem, co mi tyle życzliwości okazujesz, to się zwierzam, jak przed ojcem rodzonym, choć z obcymi umiem trzymać usta zamknięte, niby na kłódkę.

Kulesza. Ja ci też wdzięczen jestem za zaufanie, bo cię cenię i szanuję. No, gadaj-że już o niej, widzę bowiem, że milczenie piecze cię i pali.

Jerzy. Czasem zdaje mi się, że w jej oczach wypisano: „Twoją będę, albo umrę!“ Z poza gorącego lubienia wygląda z nich śmierć!

Kulesza (*śmiejąc się*). Fe! bój się Boga! A to ja na twojem miejscu bałbym się takich oczu!

erzy. Aż mi wstyd o tem mówić, ale kiedy się już rozgadałem... (*mówi przyciszonym głosem*) zdaje mi się, że ona mnie na śmierć lubi. (*Opuszcza w rozmarzeniu głowę na piersi*).

Kulesza. I gdzieżeś to taką czarodziejkę sobie upatrzył?

erzy. W mieście... wówczas, gdy z łaski moich rodziców szkołę kończyłem.

Kulesza. Ależ kiedy pono nie mieszcza, tylko szlachcianka.

erzy (*z dumą*). Tak, wylegitymowana! Posłuchaj pan. Kiedyś, w wąskiej uliczce, nieopodal rynku, zapaliło się jedno domostwo, potem drugie... i trzecie. Ratowała straż pożarna ochotnicza, ratowali starsi ludzie i studenci. Kto mógł i miał Boga w sercu ratował. No! i ja z innymi. Właśnie z pod dachu w płomieniach, z izdebki na facyatce, w której mieszkała biedna wyrobnica, wynosiłem w jednym ręku skrzynkę z jej całym bogactwem, a w drugim skrzeczącego bachora, tulącego się do mojej piersi, i tak obciążony schodziłem po uginającej się podemną drabinie — gdy spojrzę... aż tu w dole, w ulicy, stoi dziewczę, istne malowanie, z oczyma błyszczącemi i ramionami wyciągniętymi w górę, jakby chciała mnie śpieszyć na ratunek!... Wtedy nie wiedziałem jeszcze ani kto jest, ani jak się nazywa, a już uczułem nagle, że ona dla mnie nie taka, jak wszystkie, i ja dla niej inny, niż wszyscy ludzie na świecie.

Kulesza. Jakto?

Jerzy (*spuszcza głowę na piersi*). A no, śmiej się pan ze mnie, bo wiem, że śmiać się można i wypada. ale zdawało mi się, patrząc w jej oczy płomienne, że mnie polubiła odrazu.

Kulesza. Ja się śmiać lubię, ale z takich rzeczy niekoniecznie śmiać się należy. (*po chwili*). Czy poznaliście się tego samego dnia?

Jerzy (*rozmarzony*). Nie... ale to jej wpatwienie się we mnie, tak mi zajęło myśli i serce... i tak ujęło okropnie... że starałem się ją poznać. I poznałem! Mieszkała u siostry swojej, Anny Końcowej, młodej kobiety, żony bogatego rymarza, właściciela kamienicy w rynku. Zaledwem zaczął u nich bywać, miłość na dobre rozgorzała w mojej piersi, bo Salu była nie tylko piękna, ale szczerą, wesołą, serdeczną i przede wszystkim śmiałą. A ja za śmiałością u kobiet przepadam!... Kiedy dzieci Końcowej zachorowały, to ona sama po nocy i do apteki i do doktora latała, o żadnym strachu nie myśląc. A jak pielęgnowała ten drobiazg, ile nocy przy nim nie spała!

Kulesza. A pan skąd wiesz o tem?

Jerzy. Bo najczęściej doglądaliśmy razem...

Kulesza. Tędy droga!

Jerzy. Od zmęczenia i ona zachorowała trochę. Miała trzy dni gorączkę. Wtedy Anulka...

Kulesza. Mówiłeś, że się zowie Salusia?

Jerzy. Ona tak, ale siostra jej, Końcowa, ma na imię Anna. Więc też za jej pomocą i sprawą zaręczyliśmy się... a ja po zrękowinach dałem wnet za wygraną marzeniom o sławie i dalszej nauce, co mnie miało doprowadzić do znaczenia.

Kulesza. Szkoda! bo z ambicyą, jaka ci piersi rozsada, byłbyś doszedł wysoko.

Jerzy. Udałem się do rodziców, prostych chłopów, bezrolnych, bezdomnych, ale — wierzaj mi pan — bardzo poczciwych ludzi.

Kulesza. Wiem, wiem...

Jerzy. Pradziad mój i dziad byli leśnikami u księcia; ojciec od lat trzydziestu służy także za leśnika w Wasilkowicach, o kilkanaście mil od zamku odległych. Z pensyi, co brał, i z ordynaryi, dużą część chleba od ust sobie odbierając, trzymał naprzód do mnie nauczyciela, potem do szkół, do miasta wysłał, ostatni grosz mi oddawał. Skądże tu było uzbierać na kupienie choćby paru zagonów ziemi i wystawienie własnej chaty. To też dotąd biedny, ale u jaśnie oświeconego dziedzica ma wielkie уваżanie.

Kulesza. Wiem, wiem...

Jerzy. Uczyłem się dobrze, chociaż późno naukę rozpocząłem. Kończyłem ósmą klasę, a moi rówieśnicy byli już na drugim lub trzecim kursie na uniwersytecie...

Kulesza. I żałujesz teraz, żeś ich nie doganiał?...

Jerzy. Nie. Miłość z głowy ambicyę wybiła.

Kulesza. Czy w istocie?

Jerzy (*z pewnem wahaniem*). Tak mi się przynajmniej zdaje.

Kulesza. No! (*po chwili*). Więc mówiłeś, że wybrałeś się do ojca?

Jerzy. Tak. Skoro przyjechałem, powiadam do rodzica, obejmując starego za kolana: „Już mam dosyć nauki”... Potem mówię tak a tak o Salusi, że w niej

moje całe szczęście... niby jako teraz panu. „Ratuj — rzekłem — ojciec serdeczny, wyrób posadę w dobrach książęcych“. Stary kocha mnie bardzo. Nawet kiedy byłem dzieckiem, nigdy mnie nie bił, nigdy nie skrzywdził... Powlókł się więc do zamku i bawił tam ze dwa tygodni. Gdy wrócił, uśmiechnął się do jedynaka i w głowę mnie pocałował, szepcząc: „No, synku! cierpliwie i pokornie czekać musiałem dni kilka na pańskie przyjęcie i pańską łaskę, bo gości było huk, aż z Wilna i Warszawy, ale się doczekałem“.

Kulesza. Więc to na prośbę ojca książe cię zamianował?

Jerzy. A jużci. Nazajutrz z głównego zarządu dóbr przyszło na piśmie rozporządzenie, abym natychmiast jechał do Laskowa dla objęcia posady nadleśnego, wakującej po Jurczyńskim, który — jak panu wiadomo — zestarzał się, do służby był niezdatnym i poszedł na chleb łaskawy.

Kulesza. No, i przyjechałeś — a ponieważ stary dworek nadleśnego spalił się, więc czekasz na wybudowanie nowego...

Jerzy. Kiedym odjeżdżał i żegnał się z rodzicami, ojciec nad moją pochyloną głowę kreślił i kreślił w powietrzu krzyżyki. Chyba ich było tam z tysiąc! Matka całowała synka i w twarz i w czoło i w szyję, a ja rwałem się do drzwi, jakby mnie magnes ku nim ciągnął. Ale już kiedy stanąłem na progu, taki serdeczny żal mi serce ścisnął i wdzięczność w niem bijąca, tak mnie tu w gardle zadławiła, że wróciłem ze łzami w oczach, padłem na kolana i długim po-

całunkiem przyłgnąłem do bosej stopy rodzica. Matka jak nie ryknie płaczem... (*Ociera oczy*).

Kulesza. No, no... uspokój się!... Dobry z pana człowiek. Takich cenię, szanuję i lubię... No, idź, idź już. Widzę, żeś wzruszony, a wzruszenie najlepiej przechodzić; oczy zalane łzami wiatrem osuszyć. Zajrzyj do nowego domku, do twego przysłego gniazdeczka...

Jerzy (*mocno wzruszony*). Dziękuję panu, że mogłem wygadać się przed nim. (*Wstaje i ściska dłoń Kuleszy*). To tak czasem potrzeba. Inaczej zadławiłoby człowieka.

(*Bierze strzelbę, zarzuca na ramię i odchodzi przez wrota. W chwili, kiedy powstał, Teofila ukazała się na ganku. Powoli zbliża się, staje obok męża i patrzy za odchodzącym*).

SCENA DRUGA.

TEOFILA, KULESZA.

Kulesza (*wskazując głową odchodzącego Jerzego*). Szkoda!

Teofila (*trzęsąc głową, głosem jęklwym*). Szkoda! (*chwila milczenia*). Aurelka zmizerniała.

Kulesza. Ot! zaraz już i zmizerniała! Babski zwyczaj z muchy wołu robić! Od czego tam mizernieć!? Nie będzie ten, będzie drugi. Po targach obwozić jej nie myślę, bo i z domu wezmą. Suchot u nas w rodzinie nie było, dzięki Bogu, ani umierania z miłości. Babskie bzdurstwa!

Teofila (*żałośnie, rozkładając ręce*). Szkoda jednak, szkoda! że zaręczony.

Kulesza. Nowinę Teofila powiedziała! Już to, jak

Teofila co powie, to jest czego słuchać. Zdaje się, że zaraz po przyjechaniu powiedział, że zaręczony, i Aurelka jest głupia, kiedy pomimo tej wiadomości głowę sobie nim nabijała.

Teofila (*żywo*). Aurelka jest młoda, a Floryan stary, więc powinien być mieć rozum i nie zapraszać go na stołowanie się u nas. Byłby sobie mieszkał w oficynie i tyle, żeby go się z daleka zobaczyło!

Kulesza. Ot, wiedziała, co powiedziała! Czy to ja zwierz, abym takiemu porządnemu człowiekowi pozwalał marnować się na lichy wie jakim jedzeniu! I przewidzieć nie mogłem, że dziewczęta muszą kochać się w każdym, kto tylko stołuje się w domu. Może to taki u dziewcząt zwyczaj. Czy ja wiem! Teofila jest baba, więc zna babskie zwyczaje i powinna była ostrzedz, że jak tylko dziewczyna zobaczy mężczyznę jedzenie do gęby niosącego, zaraz i zakocha się. (*Wybuchu śmiechem*). Jeżeli tak, to we mnie, jak Boga kocham, wszystkie dziewczęta, jakie tylko są na świecie, kochać się powinny, bo co, jak co, ale jeść, to już nikt lepiej odemnie nie zdoła!

Teofila (*uśmiechając się*). Oj! Floryan, Floryan!... Floryana zawsze trzymają się facecye!... Floryan i na moim pogrzebie jeszczeby różne głupstwa wymyślał!

Kulesza. A cóż? Teofila lubi jęczyć, niechże ja sobie pośmieję się czasem... Dość jednego jęczenia w domu. Córkę po mnie poszły i nie jęczą, ale śmiać się lubią... Oho!

Teofila (*zawsze smutnie*). Aurelka już teraz nie tak...

(W tej chwili z dworka wypada Aurelia boso, w czerwonym kaftanie, w krótkiej spódniczce, z blond kosami rozpuszczonymi i fruującymi w powietrzu. Za nią tuż Karolka, za nią dziewczyna wiejska, za niemi dwóch małych chłopców, Antek i Pietrek, w koszulach przepasanych krajką, boso. Wszyscy aż się zanoszą od śmiechu, oblatują podwórze do koła, przeskakują przez kłody. Aurelia staje na studni i z pełnego wiadra, stojącego na cembrzynie, pryska wodą na całą bandę. Na krzyk dzieci wychodzi kucharka z oficyny, obiera nożem kartofel, patrzy się z zadowoleniem na figle panienki i aż się pokłada ze śmiechu. Ze stodoły i z szopy wychodzi paru parobków z cepami, piłkami, siekierami i śmieją się także głośno. Z budy, za dworkiem, odzywa się szczekanie psa. Wszystko to tworzy wrzawę trwającą kilka sekund).

SCENA TRZECIA.

CIŻ SAMI, AURELIA, KAROLKA, PIETREK, ANTEK,
KUCHARKA, PAROBY.

Teofila *(krzyczy i niecierpliwie tupie nogami).* Aurelka!
Aurelka! Karolka!... A i wy: Antek! Pietrek!

Kulesza. Co znowu?

Teofila *(j. w.).* Karolka! Aurelka!... Antek! Pietrek!
a zasię... Aurelka!

Kulesza. Czego Teofila wrzeszczy? czego Teofila
dziwaczy?

Teofila *(załamując ręce).* Jezus Marya!... Boże... obie
bose, Aurelka i Karolka... po rosie!

Kulesza. A gdzież rosa?!... a choćby i była, no, to
i co?

Teofila (*j. w.*). Przeziębiam się! zachoruję!... Jezus, Marya!... latają z tymi chamskimi pędrakami, jak te parobkowskie dzieci, jak te żebraki z pod kościoła, jak te sieroty odzieży niemające!

Kulesza (*zanosząc się od śmiechu*). Niech Teofila na to plunie! Teofili każda przyczyna dobra, byle jęczyć!... Czy one księżniczki, albo co, żeby im boso nogi zaszkodzić mogły. Może Teofila projektowała księżniczki na świat wydać, czy ja wiem!

Teofila. Et, Boże! tylko żarty Floryanowi w głowie!...

Kulesza (*ciągnie dalej*). Ale projekt nie udał się, bo one szlachciankami zagrodowemi tylko są, choć ojciec po dzierżawach chodzi.

Teofila. Ależ bo...

Kulesza. Po ojcu poszły, po babkach i prababkach też, które zawsze boso latały. Ot, niech Teofila przestanie jęczyć, a idzie jeść mi dać, bo głodny jestem, gorzej od tego kundla, co się tam drze jak najęty!

Teofila. Floryana zawsze facecye się trzymają, a dzieci pochorują się... zwłaszcza Aurelka.

Kulesza. Czemuż to: zwłaszcza Aurelka? Delikatna taka, czy faworytka mamina?... a!... co?...

Teofila. Et!... Czy tu ci przynieść, czy tu mam dać drugie śniadanie?

Kulesza. A juści... drugie. Można i trzecie, jeśli łaska. Ot! na tym pieńku misę postawisz... A niech się Teofila śpieszy, bo zjem dzieci, takim głodny!

Teofila. Et! już i słuchać nawet nie miło. (*Odchodzi przez ganek*).

Aurelia (*siedząc na studni, ponad całą gromadką, która*

u jej stóp rozłożyła się na ziemi, a ona drażni dzieci gałęzią. — Śpiewa).

Żeby was tu było, jak na drzewie liści,
Nie było, nie będzie, jak mój Jaś najmiłszy!
Żeby was tu było, jak na morzu piany,
Nie było, nie będzie, jak mój Jaś kochany!

Kulesza *(na str.)*. Oj! kiedy nie Jaś, ale Juraś... i to zaręczony! *(głośno)*. Aurelka! pójdz sam tu dziewczę! *(Aurelia przybiega)*.

Aurelia. A czego tatko chce, co rozkaże?

Kulesza *(całuje ją w czoło)*. Idź-no, idź do domu. Wdziej trzewiki, ogarnij się, bo matkę tem martwisz, że tak latasz, jak dziewczka z czworaka.

Aurelia. Dobrze tatku!

Kulesza. A Karolkę i bachory z sobą zabierz!

Aurelia. Dobrze tatku! *(Chwyta gałąź, leżącą pod studnią)*.

Kulesza. I przyjdź potem tutaj, niby jaka księżniczka, to Teofilę ucieszysz!

Aurelia. Dobrze tatku!

Teofila *(ukazuje się na ganku, niosąc salaterkę z bigosem, łyżkę, a pod pachą bochenek chleba i nóż weń wbity)*
Aurelka! zaraz mi do domu!... Ubrać się!

Aurelia. A już, już... idę mamuńciu.

(Szykuje Karolkę, dziewczyny i chłopaków, i popędzając gromadkę gałęzią z wszystkimi razem wybiega. Przez pewien czas słyhać jeszcze ich śmiech).

Teofila *(przez ten czas ustawiła misę na pieńku i patrzy jak mąż zajada)*. Cóż?... smaczny?

Kulesza *(z pełną gębą)*. Król jedzie, a królowa pogania! *(Je dalej)*.

Teofila (*kraje małe kromeczki chleba, podaje mężowi i mruczy*). Et! zaręczyny — pajączyny! Może Pan Bóg da, że z tych jeszcze nic nie będzie!

Kulesza. Teofila taka nabożna, a obok tego bliźniemu źle życzy. (*Zajada*).

Teofila (*siada na kłocu*). Bo, słyszę, jej familia tego małżeństwa wcale nie pragnie.

Kulesza (*z pełnemi ustami*). Czemuż to?

Teofila. Temu, że on chłop.

Kulesza (*kładzie łyżkę, patrzy na nią i mówi prawie z gniewem*). Teofila głupstwa gada!

Teofila. Floryan mówi, że ja głupstwa gadam, a sam nie bardzo mądry, bo przecież powinien wiedzieć, że co szlachcianka, to szlachcianka, a co chłop, to chłop!

Kulesza (*jedząc mruczy*). Babskie bzdurstwa!

Teofila. Bynajmniej, nie babskie, bo to właśnie mężczyzna, brat jej, osobliwie temu małżeństwu na przeszkodzie stoi! Bardzo słyszę ambitny i nie chce żeby jego siostra pomiędzy chłopami poniewierała się. I szwagrów on ma... i innych krewnych, którzy także nie chcą... Ot! co!

Kulesza. Osły! bałwany! barany!

Teofila. Floryan mówi: osły, bałwany, barany — a ja mówię, iż tak już widać Pan Bóg ustanowił, że co szlachcianka, to szlachcianka, a co chłop, to chłop!

Kulesza (*ze złością*). Teofila jest geś! (*Nagle spogląda na obrażoną, uśmiecha się i gładzi ją ręką po twarzy*). Przepraszam. (*po chwili*). A jakżeby to było z Aurelką? — a! — Czemuż to Teofila tylko co mówiła:

szkoda! — a! — Czemuż to życzyła, aby te zaręczyny były pajęczyny? — a!

Teofila (*chwilę milczy, potem macha ręką i mówi*). Ot! Floryan nie wiedzieć co wygaduje! Aurelka jest mojem dzieckiem i ja o szczęście jej dbam więcej, niż o wszystko, co może być na świecie. Niechby sobie był pan, czy cygan, czy chłop, czy szlachcic, byle jej dobrze z nim było.

Kulesza (*wybuchu śmiechem*). Wie Teofila co?... Teofila jest dobra kobieta, ale kobieta, a u baby rozum to jak dwa psy ze związanemi ogonami. Jeden w jedną stronę rwie się, drugi w drugą — i obydwaj na miejscu stoją.

SCENA CZWARTA.

CIŻ SAMI i AURELIA.

Aurelia (*staje w ganku*). Mamo! niech-no mama tu przyjdzie. Jest ktoś z interesem do mamy.

Teofila. Idę, już idę! (*do męża, wskazując na misę*). Można zabrać?

Kulesza. Przecie Teofila widzi, że zmiotłem wszystko.

Teofila. Daj Boże Floryanowi na zdrowie.

Kulesza. Dziękuję. — Bigos był wysmienity. Już to mnie Teofila dobrze żywi; nie ma co mówić: dobrze żywi! To też dlatego i facecye mnie się trzymają, bo „człowiek niegłodny do żartu sposobny“.

Teofila. Et! takich żartów to i słuchać nieraz niemiło! (*Spostrzega Aurelię, która przebrana w sukienkę zbliżyła się do rodziców*). A ty tu poco?

Aurelia. Przyszłam tatce ręce ucałować.

Teofila. No. (*Spogląda na nią z miłością*). Przebrałaś się — to i dobrze. A czemuż chusteczki nie zawiążesz na głowę? Trochę chłodno, rosa...

Kulesza. O! dla Boga, Teofilo, cóż znowu dziś z tą rosą i to w południe! Czy się przyśniła, czy co?... A choćby i była; czy Teofila kiedy chorowała od rosy? — a! — co?!

Aurelia. Mamo! tam na mamę kucharka czeka. Chce mąki na kluseczki.

Teofila. Już idę, idę!... Et! skaranie boskie i tyle! (*Wzdychając odchodzi*).

Kulesza (*bierze Aurelię za obie ręce i przypatruje jej się z miłością*). Panna się wysztafirowała! Ho! ho! nie żarty! Dla kogóż to?

Aurelia. Dla tatki.

Kulesza. Bodaj tak prawda była! (*Całuje ją w czoło, przyciska do piersi i mówi po cichu do siebie*). Poczcliwe dziecko, warte dobrego losu! Ot! (*głośno*). Ale, ale... nie ma czasu na karesy, muszę iść do obory. (*Raz jeszcze całuje córkę w głowę i odchodzi*).

SCENA PIĄTA.

AURELIA naprzód sama, potem nadchodzi KAROLKA, później POSŁANIEC.

Aurelia (*siada na kłodzie, czas jakiś myśli, potem śpiewa*).
 Żeby was tu było, jak na drzewie liści,
 Nie było, nie będzie, jak mój Jaś najmilszy!
 Żeby was tu było, jak na morzu piany,
 Nie było, nie będzie, jak mój Jaś kochany!
 (*Po chwili mówi*). Jak mi smutno, jak ciężko na sercu!...

Dziś po śniadaniu, nawet mnie w rękę nie pocałował... Ha! cóż głupiam i koniec!... Na co o nim myślę... (*Nucąc naprzód smutnie, potem coraz weselej*). Kiedy on zaręczony, zaręczony, zaręczony...

Karolka (*skrada się po cichu, zbliża się do Aurelii na palcach, z tyłu, i rękami oczy jej zasłania*). A kuku!... a kto to?

Aurelia (*usuwa ręce Karolki, potem obraca się, bierze ją wpół i przyciąga do siebie*). Chodź! Chodź! kukuleczko... nie sztuka cię poznać.

Karolka. Ale od razu nie poznałaś... Powiedz, nie poznałaś?

Aurelia. Jeszcze by też!... A jakie to zgrzane, jakie gorące... Gdzieżeś to latała?

Karolka (*śmieje się*). Schowałam się do sadu przed Antkiem i Pietrkiem. Zaszyłam się w najgęstsze krzaki malin i agrestu... Ot! patrz, pokłółam sobie ręce... A oni mnie zwietrzyli i jak psy na czterech łapach podłażą, podłażą, podłażą... Ja widzę, że mnie złapią, chlust przez płot na drogę...

Aurelia. Od strony rzeki?

Karolka. A tak!

Aurelia. Ach! ty niegodziwa, nieposłuszna! Tyle razy mówiłam, a tatko i mama ostrzegali, żebyś tamtędy nie latała. Tam droga wąska, prawie ścieżka... i spadzistość wielka i glina prądem podmulona, byle noga się usunęła, można wpaść do wody... w sam wir, w okropną głębieć...

Karolka (*śmieje się*). Kto ma wisieć, nie utonie. Ledwie wyskoczyłam, patrzę, a tu idzie jakiś człowiek z torbą, na kiju opierający się. Przystanął i pyta mnie: czy

to tu dworek pana posesora z Laskowa? — Ja mu odrzekła: a tu. — A któredy się wchodzi? — Ja mówię: prosto nosa.

Aurelia. Niegrzeczna! Fe... brzydka dziewczyna!

Karolka. Ale się wnet poprawiłam i powiadam: w około, pod płotem, aż do wrót, a przez wrota w dziedziniec.

Aurelia. No tak, to po ludzku.

Karolka. A on pyta: A pan nadleśny Chutko jest?

Aurelia (*żywo*). Cóż ty na to?

Karolka. Może jest, a może go nie ma.

Aurelia. Oj! ty szkaradna! (*Zamierza się, jakby ją chciała uderzyć, ale znać, że to robi żartem*).

Karolka. Ale się poprawiłam i gadam: tu mieszka, w oficynie, i u taty i u mamy stołuje się, ale poszedł do lasu. A on: to na niego zaczekam. A ja: siadajcie sobie przy drodze i czekajcie.

Aurelia. Widzisz smarkata, jakaś to ty złośliwa! Wartoby cię ukarać. (*Gest j. w.*).

Karolka (*śmieje się*). Ale znów się poprawiłam i powiadam: idźcie za mną, ja wam drogę wskażę. I poleciałam naprzód, a on wlecze się powoli, powolutku... ledwie girami powłóczy. Czuć od niego gorzałkę, aż strach!... A! nareszcie włązi we wrota! (*Zrywa się i leci do bramy*). Chodźcie! prędzej chodźcie człowieku. Pana Jerzego Chutka nie ma, jeszcze z lasu nie wrócił, ale jest pani Chutkowa. (*Wskazuje na Aurelię*).

Aurelia. Ach! ty nieznośna dziewczyno! Doprawdy gniewam się na ciebie! (*Podbiega do Karolki, grożąc*

jej. Ta zanosząc się od śmiechu, ucieka do dworku. Aurelia zwraca się do posłańca). A co to?

Posłaniec. Z listem do pana nadleśnego.

Aurelia. A skąd? od kogo?

Posłaniec. Z miasta, od panienki, co mieszka u Końcowej, żony pana Końca, rymarza, właściciela piętrowej kamienicy w rynku, naprzeciw domu Szłomy Faternachta... o!... co to ma szynk i kram z przeróżnymi towarami...

Aurelia. A gdzie list?

Posłaniec *(wydobywa duży list z torby).* Tu oto.

Aurelia. Dajcie..

Posłaniec. A panienka, czy też pani, co za jedna?

Aurelia. Jestem córką tutejszego posesora. Nie bójcie się, list doręczę panu Chutkowi, wy zaś pójďte do kuchni... O! tedy, koło płota... Tam sobie wypoczniecie i zjecie, co Bóg dał.

Posłaniec *(oddając list).* Niech będzie i tak. Tylko panienka niech nie zabaczy pisma oddać i prosić, żeby odpis był duchem, bo ja rychło wracać muszę... Którędy? którędy to do onej kuchni?

Aurelia. O! za stodołą... w oficynie... drzwi na prawo, wysoki próg kamienny... *(Widząc, że posłaniec kręci się i trafić nie może).* Karolka! Karolka! *(Karolka ukazuje się na ganku).*

Karolka. Czego chcesz?

Aurelia. Zaprowadź posłańca do kuchni.

Karolka. Dobrze. *(Przybiega).* To wy do kuchni trafić nie umiecie?

Posłaniec. Przecież nie tutejszy.

Karolka. I nie tutejszemu trafić nie wielka sztuka!

Powąchać na prawo, powąchać na lewo, a potem za mną wprost do kuchni. (*Biegnie śmiejąc się, za nią podąża posłaniec*).

Posłaniec. Tać i racya! (*Wychodzą*).

SCENA SZÓSTA.

AURELIA sama, potem JERZY.

Aurelia. Ten list taki duży... Brzydko, niewprawnem piórem adresowany. O! ja ładniej piszę. (*Czyta*). „Do Wielmożnego Pana Jerzego Chutko, nadleśnego. U Wielmożnego Pana Kuleszy. W Laskowie. Do rąk własnych“. (*Mówi*). To od niej... od narzeczonej. (*Wzdycha*). Mój Boże! (*Ociera łzę, kręcąc się w oczach*). Jaka ona szczęśliwa! (*Spostrzega Jerzego we wrotach*). Otóż i on powraca. (*Jerzy nie spostrzegł jej i zdążyła ku oficynie*). Panie Jerzy! panie Jerzy! proszę tu, proszę.... Mam coś ważnego do powiedzenia. (*Jerzy zbliża się*).

Jerzy. Panna Aurelia bez chusteczki na głowie, a tu słoneczko przygrzewa...

Aurelia. O, słoneczko to bynajmniej! ja do słońca przyzwyczajona... ale człowiek z miasteczka przyszedł i list do pana Jerzego przyniósł.

Jerzy (*z radością, wyciągając ręce*). List!

Aurelia. Odebrałam od posłańca... bo chciałam go sama panu oddać. Pewnie bardzo miły... ale zaraz nie oddam. Niech pan Jerzy poczeka trochę... Na miłe rzeczy i czekać dobrze!

Jerzy. Jak panią bardzo poproszę, to pani odda...

Aurelia. To niech pan prosi. (*Wznosi list do góry i obraca nim w powietrzu*).

Jerzy (*wznosi oczy za listem, potem chwytą jej drugą rękę i okrywa pocałunkami*). Proszę, proszę, moja miła, moja dobra, moja śliczna panno Aurelio, bardzo proszę!

(*Ona po tych pocałunkach miesza się, jakby rozkosznie om-dlona. Nagle list opuszcza na ziemię, oczy przeciera i jakby oprzytomniona biegnie na ganek. Jerzy list podnosi*).

Aurelia (*wołając*). Karolka! do obiadu nakrywaj!... Ja do kuchni lecę. Tatko z obory zaraz nadejdzie... a i pan Jerzy z lasu powrócił. (*Zbiega po schodach z ganku i, patrząc na Jerzego, leci pod ścianą dworku za węgiel, do kuchni*).

SCENA SIÓDMA.

JERZY sam.

Jak mi serce bije! (*Rozrywa kopertę, niesie naprzód list do ust, następnie czyta głosem przyciszonym, ze wzruszeniem*). „Ach najdroższy Jerzy! Zmartwiona jestem bardzo i smucę się okropnie, bo brat mój Konstanty, słyszę, coraz gorzej na ciebie wygaduje i odgraża się, że ani grosza posagu nie da. Ja nie wiem, jak ja wyjdę za mąż bez posagu i bez wyprawy. Wielki to będzie wstyd dla mnie. I ty swojej ziemi nie masz, a jak, broń Boże, miejsce stracisz, to co my wtedy zrobim? Ja zdrowa jestem, tylko bardzo zmartwiona i bardzo mnie za tobą tęskno, bo ja bez ciebie, to jużbym żyć nie mogła. Tak podobno pobuntował siostry i szwagrów, że odgrają się wielką nieprzyjemność twoim rodzicom zrobić, jeśli ty mnie nie wyrzeczysz się...” (*Mówi*). Moim rodzicom! a nie

doczekanie ich! Wprzódby ja im łby potrzaskam! *(Po chwili czyta dalej)*. „Anulka mnie namawia, żebym sama do nich pojechała i powiedziała im, że mnie od ciebie nie odwróci. Ona tobie bardzo sprzyja i ze mną pojedzie. Dziś już biegłam po mieście fornalkę najmować, ale chcieli bardzo drogo. Za parę dni jednak pojedę, bo choć oni krzyczą, że ty chamskiego urodzenia i ziemi swojej nie masz, ja wolę z tobą nędzę, niż z drugim bogactwo!“ *(Mówi)*. Dla czego mi moje pochodzenie i biednych moich rodziców wymawia! *(Zastanawia się)*. Nigdy o tem dotąd nie mówiła i nie myślała!

Karolka *(na ganku)*. Panie Jerzy, proszę na obiad *(Wychodzi)*.

Jerzy. Idę... w tej chwili. *(Czyta)*. „Żegnam ciebie, mój Jerzy, i twojego listu czekam. Nie zapomni o mnie, tak jak ja o tobie nie zapomnę, żeby tam nie wiem co. Twoja do grobu, Salusia“. *(Mówi)*. Moja!... moja najdroższa! *(List całuje)*. A! tu, pod tą różą, jest z boku dopisek. *(Czyta)*. „Konstanty jest złośnik i ambitny, gotów jeszcze doprawdy tobie albo twoim rodzicom jaką nieprzyjemność zrobić“ *(Mnie list w rękę z gniewem i mówi)*. Łby potrzaskam! jak Boga kocham, pojedę i łby potrzaskam!

Karolka *(na ganku)*. Panie Jerzy! panie Jerzy! Anulka na obiad prosi... Już i tatko przyszedł. *(Wychodzi)*.

Jerzy. Idę zaraz! *(Po chwili)*. Nastraszoną jest, oddaloną odemnie, więc różne myśli do głowy jej przychodzą. *(Po namyśle)*. Ot! mam się czego irytować! Gdy wezmę dziewczynę, skończy się wszystko i kpów

tych znać nawet nie chcę. Jeszcze kiedyś oni pokłonią się nisko przedemną

Aurelia (*na ganku*). Objad stygnie, panie Jerzy. Prosimy! (*Wychodzi*).

Jerzy. Już idę... (*Idzie powoli*). A jeśli... no! to lby potrzaskam. (*Wchodzi na ganek*).

(*Zasłona spada*).

AKT DRUGI.

Duża izba w szlacheckim dworku. Sufit belkowany. Wprost widzów w głębi, po lewej stronie całej ściany, dwa okna, pomiędzy którymi stoi komoda jesionowa, politurowana, pokryta serwetą szydełkowej roboty. Na niej mnóstwo gracyków: porcelana w jaskrawych kolorach, książki do nabożeństwa, lichtarze i t. p. Z prawej strony, przy tejże samej ścianie, duży, szeroki piec kaflowy. Na prawo, w ścianie bocznej, drzwi do *bokówki* (alkierza) i kuchni. Przy tejże ścianie olbrzymia kanapa staroświecka z wysokiem oparciem, kilimkiem obita. W rozmaitych kątach izby krzesła staroświeckie obite, kilka innych sosnowych nieobitych i kilka zydl. W lewej bocznej ścianie trzecie okno i drzwi główne do sieni. Pod oknem stół nakryty białym obrusem; na stole waza z mleczną zacierką, salaterka z kielbasą, ser, chleb i t. d.

Przed podniesieniem zasłony słychać zdala melodyę „Tam na błoni błyszczy kwiecie“ graną z uczuciem na skrzypcach. Po podniesieniu zasłony melodia powoli cichnie. — Chwila milczenia.

SCENA PIERWSZA.

KONSTANTY OSIPOWICZ siedzi na kanapie, OKTAWIA PANCEWICZOWA, BOLESŁAW PANCEWICZ, BARBARA ZANIEWSKA, DOMINIK ZANIEWSKI, EMILIA OSIPOWICZOWA i MICHAŁ OSIPOWICZ siedzą przy stole i jedzą.

Emilia. Mówią głupi... głupi... a gra ślicznie!

Barbara. Granie swoją drogą, a głupota swoją.

Oktawia. Oj, tak!... Czego on nie nawyrabiał!

Zaniewski (*mówi basem*). Co? co?... bo ile razy tu przyjadę, słyszę wciąż, że głupi, a nie wiem z jakowej przyczyny go tak zowiecie?

Barbara. A no, mógł być, jak inni, dostatnim gospodarzem, gdyby był rad ludzkich słuchał i należące mu grunta procesem od brata odebrał.

Oktawia. Służył w wielkim dworze, a kiedy do okolicy wrócił, całą swoją posiadłość znalazł przez brata zagrabioną.

Konstanty. Pamiętam — a byłem już wyrostkiem — jak starsi namawiali go, aby proces wytoczył, ale on machnął ręką, te kilka morgów, które brat był łaskaw mu wyznaczyć, przyjął, chałupkę mizerną — ot! za drogą, naprzeciw mego dworka — pobudował, a ludzie wtedy po raz pierwszy nazwali go „głupim Gabrysiem“... Kiedy bieży, to bieży, a gdy upadnie to leży!

(Barbara, Oktawia, Pancewicz i Zaniewski wstają od stołu ocierają usta, żegnają się krzyżem świętym i z krzeselkami przenoszą się przed kanapę. Przy stole zostają tylko Michał i Emilia).

Barbara. Bo i mieli za co.

Emilia (*przymilając się Michałowi*). A ty, daj pysia!

Michał. Czemu nie?... Tego, to jak wody! (*Całują się*)

Oktawia. A miejsce we dworze miał dostatnie. Gdyby był pozostał, możeby dotychczas piękny zebrał majątek.

Barbara. Komisarz księcia burknął mu coś niegrze-

cznie, on zaś ostro odpowiedział... a potem nogi za pas i w dyrdy do okolicy. Powiedział, że woli chleb z wodą jeść, niż marcypany z ubligą i hańbą.

Konstanty. Co do tego, że honor cenіл, to miał rację!

Pancewicz (*mówi piskliwym głosem*). Nie bardzo. Na obowiązku będąc, panie dobrodzieju, zawsze coś znieść trzeba.

Zaniewski. Duma, co się wyrzeka korzyści, byle swoje zadowolenie mieć, jest głupią i grzeszną.

Konstanty. No tak, ale pamiętać należy, że z Osipowiczów wszystkie rody pańskie poszły. Przeddziad mój był równy wojewodzie, a ja panu Korowickiemu.

Zaniewski (*do żony*). Komu?

Barbara. Panu Korowickiemu. Sąsiad Tołłoczek... pan, arystokrat...

Oktawia. To też i Gabryś, jak każdy Osipowicz, hardy...

Barbara. A jaki brat z niego... jakich mało!

Konstanty. Czy Basia przymawia?... a któż z Osipowiczów złym bratem?

Barbara. Odczep się; nie przymawiam. Przywiózł z sobą oszczędzone z pensyi dwieście rubli pono, któreby mu się przydały na kupienie krówki, szczepków fruktowych do zasadzenia w sadziku, bryczuchny okutej i różnych statków gospodarskich. Wtem przyjeżdża jedyna jego siostra — ta, co za młynarzem, o półtory mili stąd siedzi — i jak zacznie jęczyć, jak zacznie prosić: pożycz mi swoje pieniądze, pożycz i pożycz, bo młyn u nas stary i reperować go trzeba, a nie mając za co uczynić tego, z dziećmi

poginiemy — wziął i pożyczył... — na wieczne nie oddanie.

Pancewicz. A to głupi, panie dobrodzieju!

Konstanty. Oho! to jeszcze nie wszystko! Miał on stare ciotczysko, niedołężne, swarliwe... nikt jej trzymać nie chciał, już na żebry miała iść... On ją do chałupy swojej wziął i dogadza, a obserwuje...

(Michał i Emilia rzucają na siebie gałkami i skórkami od chleba. Jak jedno drugie trafi, całują się i chichoczą po cichu).

Oktawia. Mało tego! Ja sama swatałam mu pannę, bo choć już był we wzgardzie ludzkiej, ależ zawsze to krewny, jakkolwiek ratować i z biedy podnieść go wypadało. Żadna młoda a posażna nie poszłaby za niego. Wyszukałam posażną i starą... a szpetną...

Michał. Oj szpetną, bo szpetną!

Emilia. A ty masz mnie — nieszpętną, to do innych się nie mieszaj. *(Zatyka mu usta rękami, on ją całuje)*

Oktawia. Cóż myślicie, że się ożenił?... Broń Boże nie chciał za nic. Mówił: na co mnie to? Ja nie niewolnik, żeby mnie kto i za największe pieniądze kupował.

Barbara. Tak i pozostał kawalerem biednym, pustelnikiem... Tylko zwierzątkami...

Oktawia *(przerywa)*. Królikami...

Barbara *(ciągnie dalej)*. Kwiatkami i skrzypcami umila sobie życie.

Zaniewski. I cóż za korzyść z takiego życia?

Pancewicz. Ale!... co za korzyść, panie dobrodzieju!

Oktawia. Ani wygody, ani przyjemności, ani honoru żadnego niema.

Konstanty. Jedna krowina, mizerny konik, kilka kur — cała fortuna!

Barbara. Przyjdzie gdzie, nikt nawet nie zauważy i siedzieć nie poprosi.

Oktawia. Odezwie się z czem, wszyscy nie słuchają, albo śmiać się zaczynają, bo z góry wiadomo, że głupi Gabrys nie mądrego powiedzieć nie może.

Konstanty. Jeśli dla interesu albo jakiej inszej przyczyny wsunie się gdzieś, to zaraz przy drzwiach siada, aby nikomu nie zawadzać... i milczy. Najmniejszego zaś jedzenia w gościnie za nic do gęby nie weźmie, aby ci ludzie, którzy naigrawają się z niego i we wzgardzie go mają, nie pomyśleli czasem, że głodnym jest i chleba ich pożąda.

Pancewicz. A to widać ma swoją ambicję, panie dobrodzieju!

Konstanty. Ma i wielką. Powiada: żebrakiem się nie okażę, choćbym i z głodu zdychał!

Barbara. Głupi Gabrys, ale dobry, choć do rany przyłoż!

Oktawia. Salusia go bardzo lubiła i wiele przyjaźni od niego doznawała.

Konstanty. No, kiedy o Salusi mowa...

Barbara. To mówmy o niej. Już nas słuchy doszły o jej romansie z chłopem bezdomnym...

Konstanty. Umyślnie dlatego po was posłałem.

Zaniewski. Konstanty ugościł nas solennie, teraz spokojnie słuchać możemy.

Konstanty. Niechże i stryjeczny brat słucha.

Michał. A słucham!

Emilia. Słuchamy! (*Biorą się pod ręce i całując się, zbliżają się do całego grona.*)

Oktawia. Oni sobie od całowania gęby wystrzegają!

Pancewicz i Zaniewski (*śmieją się; jeden piskliwie, drugi basem*). Ha! ha! ha!

Emilia. A Oktynie zazdrość!

Barbara. Znać, że to ledwie kilka tygodni po ślubie.

Emilia. Ale tak będzie za rok — i za trzy — i za dziesięć!

Oktawia. Zobaczymy!

Konstanty. Cicho! — Otóż jak wiecie, Salusia pojechała do Końcowej, do miasta...

Oktawia. I od roku tam bawi.

Konstanty (*z początku waży powoli wyrazić, później się unosi*). A rok!... Przez ten czas popełniła wielkie głupstwo, zamierza zaś popełnić jeszcze większe. Ale ja na to nie pozwolę, jak Bóg na niebie, nie pozwolę. Zgubie jej zapobiegnę, aby z takowego postępku dziewczyny nie spadła hańba na całą rodzinę. Ale i wy, rodzina, dopomóż mi musicie; na to was wezwałem. Siostry zawsze siostrze bliższe niż brat; niechże się starają od hańby i zguby ją odwrócić. Bo kiedy bieży, to bieży, a gdy padnie, to leży!... Co do panów szwagrów, jeśli pomimo namów i zakazów Salusia się zaskali w swoim bałamutnym postanowieniu, to pomocy ich potrzebować będę do czego innego... Do czego?!... No! teraz o tej materii gadać nie pora, ale w czasie wszystko się oświadczy. Otóż Salusia pokochała chama i pono się z nim zaręczyła...

Oktawia. A to i Anulka temu winna...

Konstanty (*coraz gniewniej*). A winna!... Jak przyjedzie, to jej się to wyłuszczy. Także za łyka wyszła, więc o godności szlacheckiej nie pomni! (*Powstaje*). Zdaje mi się jednak, że garnki, które chamy do ognia przystawili, na ich łbach pękną, bo ja, do ostatniej pasyi doprowadzony, na wszystko gotów jestem się ważyć. Wszelako na świecie bywa i nie raz widziano ludzi, mszczących się na tych, którzy ukrzywdzić ich chcieli. Zrobię, co będę mógł, choćbym i na kryminal wystawić się miał. (*Wyjmuje ręce z kieszeni, idzie do stołu i pięścią weń uderza*). Kiedy bieży, to bieży, a gdy padnie, to leży. U mnie tak! Gdzie dobrocią nie utrafię, tam złością dokonam; siostrze zaś, którą mnie umierając rodzice przyporuczyli, zmarnować się nie dam! (*Ostatnie wyrazy mówi ze wzruszeniem i oczy wierzchem ręki obciera*. Wszyscy powstają).

Pancewicz. A jakże, panie dobrodzieju!

Zaniewski. Pewno!

Oktawia i Barbara. Ma się rozumieć!

SCENA DRUGA.

CIŻ SAMI i GABRYEL OSIPOWICZ.

(*Gabryel wchodzi, milcząc kłania się wszystkim i siada na dywaniku przy progu, pod ścianą. Krewni odpowiadają mu ledwie skinieniem głowy. Chwila milczenia, tylko Michał z Emilią chichoczą po kątach. Konstanty wraca do kanapy i siada*).

Pancewicz (*chcąc przerwać ogólne zakłopotanie*). Byłem

niedawno u Kazimierza Jaśmonta, w Jaśmontach. Widziałem dwa konie, które u Onufrego Cydzika kupił, bo to on, panie dobrodzieju, końmi handluje. Szkapy jak się patrzy...

Konstanty (*niezadowolony przerywa*). Trzy dni temu i ja byłem u Jaśmonta w bardzo ważnym interesie, takim ważnym, że od niego może w drugim interesie wszystko zależeć. Chciałem o tem panie siostry i panów-szwagrów w czasie dopiero uwiadomić, ale ponieważ zgadzało się o tej materii...

Gabryel (*z zydzelka cichym głosem*). Słyszę, Salusia ma dziś przyjechać?

Oktawia (*siada*). A, przyjedzie, przyjedzie.

Barbara (*siada także*). Obie z Końcową przyjadą.

Konstanty. A i Kazimierza Jaśmonta pod wieczór tu się spodziewam.

Oktawia. Dlaczego?

Barbara. Po co?

Zaniewski. Czy Konstanty ma konia na sprzedaż?

Konstanty (*z tajemniczą miną*). Większy tu trochę targ nastąpi, niżeli na konia. (*Wstaje*). Na różne choroby są różne sposoby. Otóż na tę chorobę ja jeden sposób wymyśliłem: pojechałem do Jaśmonta i powiedziałem: jeśli będzie tak a tak, to jest podług mego życzenia, ja Salusi sześćset rubli posagu na stół wypłacę. (*Barbara i Oktawia zrywają się z krzeseł*). Bo kiedy ja co przedsięwezmę, to już niczego nie pożałuję, aby dokonać. Choć własnej krwi utoczę, a dokonam. Może mnie przyjdzie tego siebie w garść ścisnąć, głodem przymrzeć, bez butów pochodzić, ale co powiedziałem, dokonam. Jeśli stanie się tak a tak,

to jest podług mego życzenia, sześćset rubli posagu na stół jej dam. Kiedy bieży, to bieży, a gdy padnie to leży! U mnie tak!

(Chwila milczenia. — Oktawia siada na krześle i zaczyna się na niem kołysać).

Oktawia. Jednakowoż Kostanty jest bardzo niesprawiedliwy. Dla jakiej-że to przyczyny najmłodszej siostrze aż sześćset rubli posagu ma wypłacać, kiedy starsze dostały tylko po trzysta?

Barbara *(siada na krześle i zaczyna się w tę i ową stronę na niem wykręcać).* To jest prawda! Wszystkim trzysta, a jednej sześćset! Dla jakiej to przyczyny? Czy dla tej, że ona takie zgryzoty familii robi, których my nigdy nie robiły?

Oktawia. Albo dla tej, że Kostanty jest niesprawiedliwy i własną swoją krew chce ukrzywdzić!

Barbara. Że Kostanty jest krzywdzicielem o tem już mnie i wtedy wiadomo było, kiedy to trzy krowy przyobiecał dać, a dał tylko dwie.

Zaniewski. To jest prawda! Na Kostantego obietnicę nie zawsze spuszczać się można!

Oktawia. My takie same córki swoich rodziców jak i Salusia... i to samo należy się nam co i jej!

(Pancewicz mityguje żonę, ciągnąc ją za rękaw).

Barbara. Tylko u Kostantego fantazya więcej zna-
czy, niż sprawiedliwość!

Oktawia. U Kostantego ten najlepszy, kto najgorzej postępuje!

Konstanty *(z początku słucha spokojnie, tylko ironicznie się uśmiecha. Nagle tupie nogą z gniewem).* Czego rozja-
dłyście się jak psy na dziada? Czy z waszego dają?

Nawet nie z rodzicielskiego! Dorobek własny posiadam i co moja łaska dać komu z niego, to dam, a do swoich garnków nikomu zaglądać nie pozwolę!

Oktawia (*zrywa się z siedzenia, biega i wymachuje rękami*).

A to nas tak Kostanty w domu swoim przyjmuje!

Barbara (*tak samo jak poprzednia*). A to na takie piękne słowa Kostanty nas zaprosił!

Oktawia (*j. w.*). Ślicznie dziękujemy za taką uprzejmą gościnę!

Pancewicz (*zatyka jej usta*). Żono! cicho!... panie dobrodzieju.

Zaniewski. To jest prawda, że Kostanty aż nazbyt niegrzecznie z siostrami postępuje. (*Pancewicz biegnie od Oktawii do Barbary, to do Zaniewskiego i uspakaja*). Idę konia zaprządz i wyjadę!... jak Boga kochać wyjadę!

Konstanty (*gniewnie*). Moje własne pieniądze mogą rozdawać według wszelkiej fantazyi i upodobania (*Michał i Emilia uciekają w kąt i całują się. — Gabryś szyderczo na kłócących się spogląda*).

Barbara. Dobrze, ale my wyjedziemy!

Oktawia. O! tak... wyjedziemy!

Zaniewski. Konia zaprzęgnę... żonę na furę... i wyjadę!

(*Ogólne zamieszanie. — Wygrażają Konstantemu*).

Barbara. A to piękny brat!

Oktawia. Bogacz... a krzywdziciel!

Pancewicz (*n. str.*). Rozjadły się, panie dobrodzieju! U Osipowiczów krew nie woda!

Oktawia. Siostrom ubliży czyni!

Barbara. Jakby krwią przybłądów pomiata!

Zaniewski. Ja tego nie zniosę! (*Pancewicz wciąż lata i piskliwym głosem uspakaja*).

Gabryel (*wstał i spogląda w okno*). Przyjechały! przyjechały! Salusia i Kończowa przyjechały!

(*Wybiega do sieni. Nagle robi się zupełna cisza. Siostry, brat, szwagrowie, mimo zakłopotania, kiwają na siebie głowami, mrugają oczami i porozumiewają się na migi. Konstanty, bardzo poważnie staje przy kanapie, jedną ręką opiera się na poręczu, drugą bierze się w bok. Drzwi się otwierają, wpadają dwie kobiety w salopach, z głowami owiniętymi w wielkie chustki. Gabryel po cichu za niemi wraca i siada na zydelku*).

SCENA TRZECIA.

CIŻ SAMI, ANNA, KOŃCOWA, SALUSIA,

Salusia (*ubrana po miejsku, ze smakiem. Mówi wesoło*).
A to deszcz! niby z cebra leje!

Kończowa (*także ładnie po miejsku ubrana. Mówi również wesoło*). Jak się macie?

Salusia. Święty Boże!... i Okcia! i Basia!... i wszyscy tu! Czy to tak zgromadziliście się na moje przywitanie? (*Obie zrzucają z siebie szybko chustki i salopy. — Salusia, niezwracając uwagi na nadąsane miny, biegnie od jednej do drugiej i całuje kobiety; one odwracają od niej twarze; mężczyznom rękę podaje; ci zaledwie dotykają jej dłoni. Spostrzega Gabryela*). Gabryś! jak się masz! (*Gabryel zrywa się z zydlu i długi, przeciągły pocałunek składa na jej ręce, z widocznym wzruszeniem*). Dobry Gabryś... (*Klepie go po ramieniu. Kończowa nieco poważniej i spokojniej, ale także wszystkich obeszła i powitała, niemal równie jak siostra zimno przyjęta. Salusia*

nagle spostrzega Konstantego. Idzie ku niemu śmiejąc się.
Jak się masz Kostuś? Czegoż to takim słupem sta-
nął? Niekontent, że do domu powróciłam, czy co?

Konstanty *(cofa się w tył)*. Owszem, owszem! Wielka
to jest promocya dla mnie i dla mojej chaty, że
pani Chutkowa była łaskawa do niej zstąpić! Niech
pani Chamowa nie uważa, że ja prosty szlachcic
może i nie umiem takiej osobie atencyi przystojnej
okazywać, ale pomiędzy chamami jeszcze nigdy nie
bywałem i nie wiem jak tam oni witają się i aten-
cye swoje składają.

*(Śmieje się gorzko, ironicznie i spogląda na siostrę piorun-
jącym wzrokiem).*

Salusia. A toż co?

Oktawia. A to, że jakie „dopomóż Boże“, takie i „Bóg
zapłaci!“

Barbara. Jaka ty dla nas, takie my dla ciebie.

Salusia. A cóż ja wam złego zrobiłam?

Oktawia. A to, że umyśliłaś siostry zakasować! Mnie
sobie biedne szlachcianki za prostą szlachtę wyszły
a ty wcale inną partyę wynalazłaś... Toż i zazdro-
sne jesteśmy o to, że nas chłopci, za żonki nie po-
brali, a ciebie jeden bierze!

Barbara. A jaki jeszcze! Z majątkiem, ziemi ma dużo
ale nie tyle, aby na niej budę dla psa postawić.

Zaniewski. Ani domu, ani łomu!

Pancewicz. Bezdomny i bezrolny chłop, panie dobre
dzieju!

Konstanty. Ale za to tytuł jest, ho, ho!... Panie
przepraszam... jaśnie wielmożny, jaśnie oświecony pa-
ni Cham.

Oktawia. Dobry los!... Niczego więcej widać warta nie była!

Barbara. A widać zmiarkowała, że lepszy nie weźmie, to sobie sama siakiego takiego bierze.

Zaniewski. Siakij takij ciałepiej, kali swoj, to lepiej.

Pancewicz. Ot! i dobrze utrafiłeś, panie dobrodzieju, bo jej chłopskie mówienie najmilsze!

Salusia *(stoi milcząca. Łzy jej kręcą się w oczach. Głowę na piersi pochyła i mówi po cichu, jakby do siebie).*

To jest prawda! to jest prawda! on chłop... ziemi nie ma!

Barbara. Chyba nas wszystkich do grobu położą, wprzód nim ty za tego oberwańca pójdiesz!

Oktawia. Co to oberwanieć! to jest łotr, wisielec, powroźnik, łańcusznik!

Salusia *(nagle podnosi głowę i cała trzęsąca się z gniewu i oburzenia przyskakuje do sióstr).* A wy jakim prawem takie przezwiska jemu dajecie? Chwytajcie się za swój nos, a cudzych nie tykajcie! Jaki on łotr, i wisielec i łańcusznik?! Co on komu złego wyrządził? Dla jakiej przyczyny wy go swemi gadzinowemi językami sieczecie? Ja wam nie pozwolę pluć na mego narzeczonego! *(Zwraca się do Konstantego. Ujmuje się jedną ręką w bok i mówi z dumą).* Słyszysz, Kostanty? On cham, to jest prawda, ale cham chamowi nierówny... i on nie taki jak wszystkie chamy; a daj Boże, aby wy jego warci byli! Słyszysz, Kostanty? Niech was Bóg broni, żebyście na niego wygadywali i od łańcuszników go przezywali, bo jak

Boga kocham, jeszcze skoczę i komukolwiek oczy wydrapię. Słyszysz, Kostanty?!

Michał (n. str.). Nasza krew, jak mi Bóg miły, Osi powiczówna! A to im palnęła!

(Gabryel nieustannie siedzący na zydelku, kiedy Salusia mówiła ciągle głową jej przytakiwał i śmiał się radośnie cichuteńko. Po jej przemówieniu wszyscy, z wyjątkiem Gabryela, Michała i Emilii, chodzą po izbie, gestykulując i mówią, krzyczą).

Zaniewski. Wiedziała, co powiedziała!

Oktawia. Cóż to? czy nie wiemy... to jest człowiek który ani kawałka swojej ziemi nie ma!

Barbara. Włóczęga, żebrak, dziad kościelny!

Salusia. Kłamstwo!... Miejsce dobre u księcia dostał pensję bierze... jest nadleśnym.

Zaniewski. Bajki babom!... a miejsca stracić nie może?!

Salusia. Drugie dostanie.

Barbara. Pewno! Wszyscy na niego czekać będą z miejscami!

Pancewicz. Żeby jeszcze samym cierpieć... a dzieci panie dobrodzieju!

Zaniewski. Będiesz ich miała pięcioro...

Barbara. Sześcioro...

Oktawia. Ośmioro...

Barbara. A z czego ich karmić i przyodziewać?

Kończowa. Dajcież i mnie przyjść do słowa...

Zaniewski. A na wypadek wojny, gdy jego do wojska zawezwą?

Konstanty. Insze kobiety, choć i bez mężów, ale n

swojej ziemi i w swoich chatach ostaną, a pani Chutkowa co zrobi?

Pancewicz. Też w służbę pójdzie, panie dobrodziejku!

Barbara. Ładny los! nie ma co mówić!... na dziewczkę do dojenia krów...

Oktawia. Do prania cudzych brudów...

Pancewicz. Widać, panie dobrodziejku, takiego losu pożąda.

Zaniewski. Tylko z dzieciakami i na taką dziewczkę nikt nie przyjmie.

Oktawia. Przyjdzie może siostry i brata po rękach całować, żeby przyjęli.

Salusia. Niedoczekanie wasze!

Barbara. Żeby mrać z głodu widziała, obojętną pozostanę!

Kończowa. A na miłość boską, pozwólcie słówko przemówić...

Pancewicz. Och, panie dobrodziejku, co za poniżenie!

Barbara. Hańba!

Zaniewski. Służba, choćby najlepsza, zawsze służba!

Pancewicz. Nadleśny czy podleśny, panie dobrodziejku, zawsze, to nie pan w swoim własnym domu, choćby i najmniejszym!

Zaniewski. Każą być lokajem — będzie!

Oktawia. Każą językiem proch przed pańskimi stopami zlizywać — zliże!

Barbara. Wszystko zniesie, choćby najgorsze ubligi, byle miejsca nie stracić i nie zejść na psy!

Pancewicz. Wstyd jemu, jej hańba!

Zaniewski. Jemu zresztą to i przyrodzone. Będzie służył i wszystko znosił, bo tak z chamami zawsze

bywało, ale dla jakiej przyczyny ona zdrową głowę pod ewangelię kładzie?

Oktawia. Bo ją Pan Bóg opuścił, dyabeł opętał i... (*dyga przed Końcową*) i siostrzyczka mieszczańska zbałamuciła.

Zaniewski. A tak, tak. Kto na niegodne romansy Salusi pozwalał, kto?

Barbara. Kto hołysza do domu przyjął i zaprosił?... O! nie bój się! dla siebie jednak mądrzejsza była Męża, choć miejskiego śmieciucha, lecz z ładnym domem i zyskownym rzemiosłem wzięła, a siostrę to gotowa za żebraka wydać...

Oktawia. W łzach wiecznych i w nędzy utopić!

Konstanty. Jeśli Salusia zginie, to Anulka za nią Panu Bogu odpowie, bo ona temu wszystkiemu winna!

Końcowa (*która zmordowana biegiem siadła, zrywa się teraz z krzesła*). Wcale nie po to tu przyjechałam aby mną poniewierano. Ja do poniewierki nie przywykłam. Mam mój dom, chwała Bogu! i swego męża i swoje uważanie w świecie. Przyjechałam za własne pieniądze, przez siebie najętym koniem. Natychmiast każę zaprządz. Ani momentu dłużej tych impertynencyj znosić nie będę... i odjadę.

Oktawia (*przerażona*). Ależ siostruniu!... (*Mruga do Konstantego*).

Konstanty. Nikt tu Anulce ubliżyć czynić nie chce. Bogiem się świadcę, że jestem dla niej z całą braterską atencją...

Barbara (*całując Końcową*). No, no... nie gniewaj się Anulko!

Oktawia (*całując ją z drugiej strony*). Siadaj, siadaj... (*Sadza ją gwałtem*). Przecież jesteś wśród rodziny, wśród rodzeństwa!...

Zaniewski (*z przymileniem*). A i szwagrowie dla pani Końcowej mają życzliwość wszelką.

Pancewicz. I respekt należny, panie dobrodzieju.

Końcowa (*udobruchana nieco*). Bo tak na mnie wpadliście...

Konstanty (*wskazuje na Salusię*). Gdyby nie ona... i jej cham włóczęga...

Salusia. Psy wyją, a miesiąc świeci!... Nie znasz, a wygadujesz. Wpierw poznaj, a potem gań!

Konstanty. Właśnie, że znam. Ze wszystkich stron go obejrzałem i z żadnej nie dobrego nie увидziałem. Ani welny, ani mleka! ani z mięsa, ani z pierza! Cham i kwita! Kiedy bieży, to bieży, a gdy padnie to leży!

Salusia. Lepszy od ciebie, bo edukowany. Ty takiej edukacyi nawet nie widział, jak on ma!

Konstanty. Nie pomoże krukowi mydło! brudnego galgana edukacya nie wybieli!

Salusia. Kostanty arystokrat, to niechaj sobie wielkiej pani szuka, a ja dla siebie za mąż idę, nie dla Kostantego.

Konstanty (*śmieje się ironicznie*). Bieda tylko, że nie pójdziesz!

Salusia. I czemuż to?

Konstanty. Bo ja zabraniam.

Salusia. Już moje dzieciństwo przeminęło. Dwadzieścia trzy lat mam i nikt mi nie nakazać, ani zakazać nie zdoła.

Konstanty. Słuchaj Salusiu! u tego tańca dwa końce: albo posłuchasz, i ja ciebie uszczęśliwię, albo grosza posagu nie dam, jednego łachmana nie dam... za próg nie puszczę...

Salusia. Mnie i w jednej koszuli wezmą, a na próg twój nogi moje nie łakome!

Konstanty. Z tobą gadać, to samo, co wodę rzeszotem czerpać.

Salusia. A z takim najgrawaczem i krzywdzicielem jak ty, to i wcale gadać nie warto!

Konstanty. A z chamem warto?

Salusia. Na was dwóch pojrzawszy, jego za pana, a ciebie za chama poczytać by można.

Konstanty. Niech go psy zjedzą!

Salusia (z gorzkim łkaniem). A żebym ja była wskrós ziemi poszła, nim do tego domu przyjechałam!

(Wybiega do bokówki płacząc. Za nią, porozumiewszy się wzrokiem, biegną wszystkie trzy siostry. Konstanty gniewny i sapiący łapie za czapkę i wychodzi przeciwnymi drzwiami. Pancewicz zbliża się do Zaniewskiego, przykłada palec do ust jakby mu nakazywał milczenie, migami wskazuje alkierz, potem drzwi wchodowe. Oba wdziewiają czapki, biorą się pod ręce i wychodzą za Konstantym. Michał i Emilia przedrzeźniają poprzednich i całując się i chichocząc wesoło, idą za nimi, temi samymi drzwiami. Gabryel siedzi chwilę z oczyma utkwionemi w alkierz. Potem wstaje i przybliża się do drzwi od bokówki).

SCENA CZWARTA.

GABRYEL sam.

Szepczą... bałamucają... pieszczą... całują... pochlebstwami durzą... Żmije!... W główce (gestem pokazuje co robią)

...a potem przekabacą. Szkoda, szkoda dziewczyny!...
Et! (*Macha ręką i siada znowu na zydelku. Zadumany pochyła głowę na piersi. Wzdycha. Chwila milczenia*). Nie ma dobra na świecie! (*Chwila milczenia. Macha ręką*).
Wszystko głupstwo!

SCENA PIĄTA.

GABRYEL, OKTAWIA, BARBARA, KOŃCOWA, SALUSIA.

(*Siostry wyciągają i wypychają z alkierza Salusię; całując i pieszcząc prowadzą do zastawionego stołu*).

Oktawia. Zmęczona jesteś drogą.

Salusia. Oj! nie tylko drogą...

Barbara. Wiemy, wiemy... ale przecież przeprosiliśmy.

Oktawia. Bo my ciebie tak kochamy!

Barbara. No, zjedz cokolwiek...

Końcowa. Siadaj, siadaj... tu... tu... Po płaczu po-
krzepić się trzeba.

Gabryel (*na str.*). Już i ta na jedną nutę z niemi
śpiewa.

Barbara. Tylko troszkę, żebyś sił nabrała.

(*Obejmują ją, całują, pieszczą i gwałtem prawie sadzają za stołem. Potem obok niej zajmują miejsca*).

Oktawia. Ot, kielbasa...

Barbara. I chleb, i masło... i ser. Kraj, jedz...

Oktawia. A ja ci do popicia przywiozłam w dzbaneczku mleka.

(*Salusia zamysłona machinalnie kraje chleb i smaruje masłem. Końcowa, zaproszona przez siostry, zajada. Gabryel wzdycha*).

Salusia (*ogląda się i spostrzega Gabryela*). Gabryś! dla czego nie siadasz przy stole?

Gabryel (*bardzo zmieszany*). Dziękuję Salusi, bardzo dziękuję... Mnie tu dobrze.

Salusia (*mruga na niego i kiwa palcem*). Chodź! chodź! siądziesz tu przy mnie. My oboje biedni! Tak dawno nie widzieliśmy się z sobą!

Gabryel (*porusza głową przecząco*). Dziękuję! mnie i tu dobrze.

Oktawia (*do Końcowej po cichu*). Głupi!

Końcowa. Czy zawsze taki jak był?

Oktawia. Taki sam... głupi Gabryś!

Barbara. Gamoń, harbuz!

Salusia (*do Gabryela*). To zjedz-że przynajmniej cokolwiek.

Gabryel. Dziękuję Salusi.

Salusia (*wstaje, trzymając w jednej ręce kawałek chleba nasmarowany masłem, w drugiej kawał kielbasy. Uśmiecha się, zbliżając się do Gabryela. Siada przy nim na drugim zydelku i klepie go po ramieniu*). Proszę, zjedz-no... zjedz-że, mój Gabrysiu!

Gabryel (*bardzo zmieszany, ale i uszczęśliwiony zarazem*). Dziękuję Salusi, bardzo dziękuję, ale nie głodnym; jeść nie będę. (*Salusia głaszcze go, podając mu chleb i kielbasę. On się uśmiecha, potem nagle mówi szorstko*). Nie chcę! nie będę!... Niech Salusia wybaczy, ale jeść nie będę. Nie głodnym!

Oktawia. Daj mu pokój! Powinno ci być wiadomem, że Gabryś u nikogo nic do gęby nigdy nie bierze. Widać pierogi u siebie je, kiedy u ludzi chleb w zęby kole.

Gabryel (zcicha). Pierogów u siebie nie jem, ale chleba od ludzi nie potrzebuję.

Barbara. Głupi!

Oktawia. Niby to taki ambitny!

Barbara. A dziurami w butach świeci.

(Salusia nieco nadąsana wraca do stołu. Zaledwie usiadła, siostry przysuwają do niej krzesła i zaczynają szeptać do ucha. — Cała rozmowa do końca sceny prowadzi się szeptem i prawie urywanymi wyrazami, drugą połowę bowiem każdego zdania, na początku lub na końcu, mówi tak Oktawia jak i Barbara zupełnie cicho. Widać tylko że poruszają ustami).

Oktawia. Chłopy... grubiany...

Barbara. Nie ma nic... cham, golec...

Oktawia. Jeśli nie on, to jego rodzice...

Barbara. Czy ich w ręce całować będziesz?...

Oktawia. Ojciec za pańszczyzny jeszcze w skórę brał...

Barbara. Czybyś zniosła, gdyby...

Salusia. Och, jaki mi ból sprawiacie... och! *(Zakrywa oczy).*

Barbara. A tak być może... i będzie...

Oktawia. Gdzie tobie z takimi żyć...

SCENA SZÓSTA.

CIŻ SAMI, MICHAŁ, EMILIA, KONSTANTY, PANCEWICZ, ZANIEWSKI.

(Michał staje pod oknem za stołem. Emilia opiera się łokciami na stole i oka z Salusi nie spuszcza. Konstanty przechodząc koło Salusi zatrzymuje się i głaszcze ją po włosach,

potem idzie do kanapy. Salusia spogląda na niego wzruszona i lzy ociera. Pancewicz i Zaniewski pokazują sobie na migi, że żony ich Salusię przekabacą, potem biorą krzesła i siadają pod piecem).

Oktawia *(w dalszym ciągu tym samym tonem i tym sposobem jak wyżej wskazano).* Czy ty na taką poniewierkę stworzona?...

Barbara *(j. w.).* Sługus... bez domu... bez zagona...

Kończowa *(która przysłuchiwała się, jakby skonwinkowana).*
To jest prawda! to jest prawda Saluś moja.

Oktawia. Tobie panią być... duże gospodarstwo mieć... sukienki... stroje...

Barbara. Czy to my nie siostry, czy twego dobra nie chcemy?

Kończowa *(przytakując).* To jest prawda! to jest prawda!

Oktawia. Kawolątka ziemi nie ma...

Salusia *(z bólem).* Och! to okropne!

Emilia *(głośno, wpatrując się w Salusię).* Wiesz co, Salusia? A ja by ich nie słuchała, gdybym na twojem miejscu była. Dalibóg, nie słuchałabym nikogo. Żeby Michał, zdaje się, sto razy chłopem był i ziemi swojej nie miał, jaby za niego poszła. Rodzonego ojca nie posłuchałabym i za Michała bym poszła!

Salusia *(drgnęła).* Dobrze tobie tak gadać Emilka, kiedy twój Michał i nie chłop i ziemię swoją ma.

Konstanty *(gniewnie spogląda na Emilię).* Emilka tak gada, bo jest smarkata i rozumu żadnego nie ma.

Michał *(prostuje się i z pod okna wychodzi na środek).*
Za pozwoleniem, Kostanty! Ja Kostantemu oświadczam, że do mojej żony takim sposobem przemawiać

nie wolno! Ja nikomu nie pozwalam ubliżyć jej wy-
rządzić!

Konstanty. To na cóż głupia?

Michał. My u Kostantego o pożyczenie rozumu nie
prosim... Chodź, Emilka!

Pancewicz (*zerwał się z miejsca i chwytą go za ramię*).
Bój się Boga! ostań... Przecież, panie dobrodzieju,
brat stryjeczny nie chciał nic złego powiedzieć,
tylko...

Michał. Niechaj Kostanty gęby pilnuje! Moja żona
nie jego sługa, aby na nią złość wywierał.

Konstanty. Wolna droga, do proga! Jeśli komu
w chacie mojej nie miło, może sobie milszej gościny
poszukać.

Pancewicz (*z rozpostartymi rękami, to mruga na Kon-
stantego, to przytrzymuje za połę Michała*). Człowiekowi
na to rozum od Pana Boga jest dany, aby pasyami
swojami rządził. Pasye, panie dobrodzieju, to są
dyabły w człowieku umieszczone, a kto niemi nie
rządzi, przemienia się w bydlę, panie dobrodzieju.
Michał! Kostanty! pocałujcie się!

Michał. Bajki babom! Mam go całować za to, że mi
żonkę złajał?

Konstanty. Mnie też twoje całowanie tak pachnie jak
psu padlina!

(*Kobiety przy stole porozumiewają się na migi*).

Emilia (*tonem rozkazującym*). Michał! pocałuj się z Ko-
stantym!

Oktawia, Barbara i Kończowa. Kostanty! słyszysz,
pocałuj się z Michałem!

(Pancewicz ciągnie jednego i drugiego za kurty i wyprowadza na środek. Oni się opierają).

Emilia *(tonem wesołym, ale rozkazującym).* Michał! słyszysz, pocałuj się zaraz z Kostantym!

(Michał i Kostanty stoją chwilę nasrożeni na siebie. Nakoniec Michał pierwszy zbliża się do stryjecznego brata i ująwszy go za oba ramiona cmoka w jeden policzek, potem w drugi. Po chwili to samo robi Kostanty. Kobiety klaszczą w dłonie i zanoszą się od śmiechu).

Pancewicz i Zaniewski *(który wstał z krzesła).*
Wiwat!

(Zmrok zaczyna zapadać).

SCENA SIÓDMA.

Ciż sami, KAZIMIERZ JAŚMONT, WŁADYSŁAW CYDZIK.

Jaśmont *(okazalej postawy mężczyzna, twarz piegami pokryta, ale sympatyczna. Czupryna i wąsy rude).* Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. *(Stoi na progu)*

Wszyscy. Na wieki wieków.

Jaśmont. Dobry wieczór państwu.

Kobiety *(prócz Salusi)* Pan Jaśmont! pan Kazimierz Jaśmont! *(klaszczą w dłonie).*

Kostanty *(wyciągając doń ramiona — serdecznie).*

A witajże nam, witaj... *(Chwyta go za ręce i w długim uścisku niemi trzęsie).*

Jaśmont *(odsuwa się od progu i wskazuje za sobą Władysława).* Mam honor rekomendować. Oto jest pan Władysław Cydzik, jedyny i najmilszy syn pana Onufrego Cydzika, z okolicy Cydziki Mniejszej.

(Władysław młody chłopiec, cienki, chudy, w długim czarnym surducie, krawat kolorowy, jaskrawy).

Oktawia, Barbara, Końcowa. O! ojca znamy!
od dziecka znamy! (*idą przybyłym podać ręce*).

Pancewicz i Zaniewski. A jakże znamy! dobrze znamy, panie dobrodzieju. (*Wszyscy otaczają przybyłych. Powitania życzliwe, wesole, serdeczne. Gabryel chyłkiem po za niemi cofa się z zydelkiem w rękę i cicho siada pod piecem*).

Salusia (*na str. zmieszana, staje za stołem, na lewo, pod oknem*). Swat!... do kogo?... ja tu jedna panna. (*Przyklada rękę do czoła*). Do mnie... chyba do mnie... Boże? a ja zaręczona... (*Wzdycha*). O! mój dobry, śliczny Jerzy! chcą ci odebrać twoją Salusię. (*Wylęknioma patrzy na Jaśmonta i Cydzika*).

Konstanty (*chce się zbliżyć do drzwi wchodowych i woła*). Hej! Mateusz... parobek... konia do stajni!

Jaśmont (*przytrzymując go za rękę*). Za pozwoleniem. Nie wiadomo jest jeszcze, czy kobyłka nasza do stajni wprowadzoną ma zostać, lub też wspólnie z nami wprędce za wrota się wydalić. To się dopiero okaże, gdy o dekret dla siebie i dla niej zapytamy, a tymczasem pięknie proszę, aby w oczekiwaniu na ten dekret pod boskim sobie dachem pozostała.

Salusia (*n. str.*). Konia do stajni odprowadzić nie zezwolił. Swat, swat niezawodnie!

Oktawia (*do kobiet*). Chodźmy do kuchni. (*Idzie do Salusi*). Ty lampę i świece zapal. (*Do męża*) Bolo z szwagrem Dominikiem stół przed kanapą ustawiaj. (*Do Barbary i Końcowej*). Basiu! Anulku! wy ze mną! (*do brata*). Konstanty! proś gości siedzieć... na kanapę.

(Wybiega na prawo; za nią Barbara i Końcowa. Salusia zamyślona powoli wychodzi także za nimi).

Konstanty. Prosimy... bardzo proszę... tu, tu... będzie wygodniej. *(Jaśmont siada).* A i kawaler także... proszę. *(Obok Jaśmonta siada Władysław, trzyma się prosto, jakby kij połknął. Pancewicz i Zan. stół przystawiają).*

Jaśmont. Oj! ta kanapa! dobre ona, stare czasy pamięta. To niby jeden dokument więcej do szlacheckiej legitymacyi przesławnej rodziny Osipowiczów!

Konstanty *(ściska go za rękę i mówi z dumą).* U nas tu w okolicach szlacheckich... u niejednego prostego szlacheica nieraz czystsza krew w żyłach płynie, niż w ciele siakiego takiego magnata.

(Salusia wychodzi z prawych drzwi z lampą zapaloną w ręku, czerwona wstążeczka — której przedtem nie miała — naszyi. Warkocze w około głowy owinięte).

Gabryel *(przechodzącą koło niego zatrzymuje).* Oj, Salusiu! Salusia *(wskazuje na włosy i wstążeczkę)* przystroiła się, chociaż i bez tego piękna. *(Uśmiecha się szyderczo).*

Salusia *(smutnie).* A Gabrys to wnet spostrzegł! *(Wzdycha).* Trzeba było... do gości. *(Idzie na środek i stawia lampę na stole przed kanapą).*

Jaśmont *(zrywa się i daje szturchańca w bok Władysławowi, aby powstał. Władysław wyprostowany jak koleka, pełnym namiętności wzrokiem patrzy na Salusię. Obie kłaniają się. Jaśmont mówi uprzejmie z przymileniem).* Uradowanie dla nas wielkie, że panna Salomea po tak długiej niebytności do ojczystego gniazdeczka powróciła, a chociaż nie wiem czy mnie zachowała w pamięci...

Salusia. O! przecież pamiętam. Na weselu siostry

Zaniewskiej, Pan Jaśmont — którego miło mi w domu brata powitać — družbował, a ze mną wcale jeszcze pod ten czas niedoroslą krakowiaka tańczył. *(Dyga dwa razy).*

Jaśmont. Jeszcze da Bóg i na pani weselu — choć już żonaty i podstarzały — tańczyć będę. *(Salusia dyga i odchodzi w głąb. Naprzód zapala świece na komodzie, potem siada po lewej stronie pod oknem na krześle; zamysła się i chowa twarz w dłonie. Ile razy je odstani widać, że toczy z sobą walkę wewnętrzną).*

Konstanty *(siedzi na krześle przy kanapie).* A cóż czy pan Kazimierz kontent z owej pary koni, kupionej u ojca miłego nam kawalera?

Jaśmont. Oho! byle czego ja nie kupię... więc... *(Rozmawiają dalej po cichu).*

Pancewicz *(na boku do Zaniewskiego, patrząc na Władysława).* Panie dobrodzieju, młodzieniaszek taki, że żał się Boże!

Zaniewski. Smarkaty jeszcze, ale tem łatwiej Salusia i kozła i barana zrobić z niego zdoła!

Pancewicz. Ze wszystkich kawalerów, jacy tylko są w powiecie, najbogatszy.

Emilia *(do Michała).* Żeby i brylantowy cały był, jaby za niego nie poszła, taka to niedostała trawa.

Michał. E!... a gdyby wpierw... przedemną w swaty posunął, a worem zabrzęczał...

Emilia. Nie, nie... bogacz, to niech sobie bogacz... ja jednego Michała kocham. *(Całują się).*

Pancewicz. Jedynak, panie dobrodzieju, do wojska nie pójdzie, to i żenić się jemu pora...

Zaniewski. Ociec pono wszędzie oświadcza, że z pięknego domu żonkę dla syna wziąć życzy...

Pancewicz (z dumą). To też go tutaj w swaty przysłał. Szlachetniejszego, panie dobrodzieju, w całej okolicy nie znajdzie.

SCENA ÓSMA.

CIŻ SAMI, OKTAWIA, BARBARA, KOŃCOWA.

(*Oktawia wnosi tacę serwetą nakrytą, na niej: chleb, talerze, łyżki cynowe, sztuce w drewnianej oprawie, dwie salaterki dymiące. Za nią Barbara z butelką wódki i drugą z miodem. Ustawiają wszystko na stole. Kończowa zbliża się do Pancewicza i Zaniewskiego*).

Pancewicz. Cóż, jakże Anulce podoba się — panie dobrodzieju — kawaler?

Kończowa. Niczego sobie, tylko, że jeszcze bardzo niezgrabny. Czysty kołek!

Jaśmont (*Odchrząknął znacząco. Robi się cisza. Mówi ze swadą*). Otóż i nadszedł ten moment, w którym o losie naszym dowiedzieć się nam przyjdzie, a chociaż serce od niespokojności bije, lecz na dłuższe odkładanie też zgodzić się nie chce i rozkazuje mnie wszystkich państwa pięknie prosić, abyście tego co powiem, życzliwymi uszami wysłuchali. (*Chwila milczenia*).

Salusia (*jakby przebudzona, chwytą się za serce*). O Jezu!

Jaśmont (*kładzie obie ręce na stole i mówi dalej tym samym tonem*) Małżeństwo, nierozdzielna wspólność żywota mające, w kościele siódmy sakrament święty, rzecz przyrodzona człeku — i pocziwa. Dobrze jest

je zawierać, dobrze i zawieraniu ku pomocy stawać. Z tą pomocą ja panu Cydzikowi, tu przytomnym będącemu, chętnie przybiedz zgodziłem się, do zacnego tego domu wspólnie z nim przybyłem, aby w interesie jego, najważniejszym, jaki tylko na świecie człowiek mieć może, życzliwem a prawdziwem słowem przemówić.

Salusia (*n. str. spoglądając ukradkiem na Władysława*). Niebrzydki! tylko taki młody! (*wzdycha*). O, Boże! jaka ja nieszczęśliwa!

Jaśmont (*j. w.*). Ręczę za tu przytomnego kawalera, że jest poczciwy, trzeźwy, gorejący miłością synowską dla rodzica, z czego wróżyć należy, że i dla towarzyszek żywota miłującym i dobrym będzie. Wszyscy wiedzą, że urodzony godnie, szlachcic z dziada pradziada. Jedynakiem jest u ojca, bo choć siostry ma, ale te wyposażone i za mąż wydane, a ociec — można powiedzieć — że nie na zagrodzie już, ale jakby na folwarku siedzi, półtóry włóki dobrej ziemi mając. Dom na dwa końce wypořádzony, dziesięć pięknych krówek w oborze, sto drzewek fruktowych w młodym sadziku, a co tam u niego, obok tych rzeczy widzialnych naleść się może takich, których nikt nie widzi, bo są ostrożnie schowane, ale które on — jako dobry ociec — dla najmilszego syna jednaka pilnie zgromadza, o tem mówić nie potrzeba, ponieważ na dłoni okazać ich nie można, ale wszyscy znają pana Onufrego Cydzika i wiedzą, że syn i jedyny sukcesor pustych skrzynek i próżnej sakiewki po nim nie odziedziczy.

Salusia (*powstaje nagle i chwytą się za głowę. Półgłosem*).

Taki bogacz! (*Zamyśla się*). Z takim majątkiem można być szczęśliwą! (*Wzdycha*). Biedny Jerzy! (*Siada znowu*).

Jaśmont (*który wzrokiem szukał Salusi, spostrzegłszy ją mówi dalej*). A dla jakich to przyczyn kawaler tak zaletny, osobliwie tu, w tym domu, dozgonne szczęście swoje upatrzył i tę pannę, która jest jego najpiękniejszem przyozdobieniem, prosić i zaklinać postanowił, aby mu to szczęście zaofiarowała?... A to dla tych przyczyn: że dom ten jest godnym, a zdawna urodziwością i cnotliwością swoich niewiast słynie, i że ta panna jest tak zaletną, iż jej równej trudno byłoby na całym świecie znaleźć.

Salusia (*na str.*). O! Matko Przenajświętsza, jakże ja się dręcę!

Jaśmont (*ciągnie dalej*). Pradziadowie nasi w doskonałej pannie sześć przymiotów, na „P“ rozpoczynających się, upatrywali. (*Wyciąga na stół rękę i na palcach wylicza*). Pierwsze tedy: pobożna, Boga jakimkolwiek grzechem obrazić bojąca się. Drugie: piękna, co tłumaczenia nie wymaga, bo wszelkiemu oku jest widzialnem. Trzecie: pracowita, czyli rączek na krzyż niezakładająca i wszelkiej roboty pożytecznej chętnie imająca się. Czwarte: pokorna, mężowi, i dobrym przykazaniom ulegać lubiąca. Piąte: przystojna, to jest skromna, grzeczna, wszystkim przypodobać się umiejąca. Szóste: posażna... Ale to choćby przekreślić można, bo gdzie znajdują się pierwsze pięć „p“, tam szóste — jeżeli się znajdzie — to dobrze, a jeżeli nie, to o nie bynajmniej!... Panna Salomea Osipowiczówna pięć „p“ posiada,

a z szóstym niech już będzie podług woli i łaski jedyne go jej brata i opiekuna, bo chociaż pan Cydzik tej łaski nie odrzuca, lecz też i granic żadnych jej nie zaznacza... i nie jeszcze o szóstym „p“ nie wiedząc, przez usta moje prosi i zaklina, aby dziewczina — ornament tego domu — rączki swojej i dobrego serca mu nie odmawiała, i aby jedyny jej brat i opiekun był przed najmilszą siostrą swoją jego życzliwym pośrednikiem i orędownikiem. (*Ociera pot z czoła chustką. Salusia zagryza wargi i milczy*).

Konstanty. O mojem przyzwoleniu i życzliwym do siostry pośredniczeniu niech pan Władysław Cydzik nie ma żadnego wątpienia. Owszem: przyzwalam, błogosławię i za promocyę dla siebie, jako i dla siostry mojej poczytuję. Ażeby na to dowód złożyć, oświadczam, że siostra moja i bez szóstego „p“ nie pozostanie i jeżeli za pana Cydzika wyjść się zgodzi, sześćset rubli posagu na stół... (*Urywa, chwile milczy i po siostrach spogląda*). Choć niektóre ludzie inaczej mówią, podług zdania mego najmłodszej siostrze najwięcej odemnie się należy, bo małeńką jeszcze i ledwie troszkę od ziemi odrosłą umierające rodzice mnie ją przyporuczyli i ja jej prawie ojcem byłem. (*Głos mu drży ze wzruszenia, ociera oczy wierzchem ręki, poczem dumnie podnosi głowę i mówi*). Sześćset rubli posagu ona odemnie otrzyma na stół, w gotówce. Trzy krowy też z obórki mojej niech sama sobie wybiera, a o kobiecych łachmanach to już starsze siostry pomyślą, ja zaś i w tem dopomogę. (*Głośno i dobitnie*). Tak obiecuję i obietnicy dopełnię, choć mi

to może nie łatwem będzie. Ale kiedy bieży, to bieży a gdy padnie, to leży. U mnie tak! (*Woła*). Salusiu!

Salusia (*z rękami skrzyżowanemi na piersi zbliża się, staje przed stołem i mówi z energią*). Za honor i grzeczność ślicznie dziękuję... i panu Cydzikowi życzliwą jestem.. ale zaręczoną już będąc, nikomu innemu, oprócz narzeczonego swego, nic obiecywać nie mogę.

(*Konstanty w gniewie i oburzeniu uderza pięścią w stół*).

Koncowa (*która zaraz po zbliżeniu się Salusi za nią stanęła, mówi do brata*). Cicho! czekaj! (*do Salusi*). Salusiu! bój się Boga!

Oktawia (*która także przybiegła, uderza Salusię z lekka w bok*). Salka! taki los!... nie odrzucaj, głupia, bo Pan Bóg skarże!

Jaśmont (*z tropu nie zbity, bardzo grzeczny, filuternie się uśmiecha, przebierając palcami po stole*). O tem, że panna Salomea jest zaręczoną, już nas głosy publiczne uwiadomiły, ale my, niezważając na to, przybyliśmy z nadzieją, że ten węzeł rozwiązany, a drugi zawiązany być może. Ja o narzeczoną pani nic złego nie wiem i nie powiem. Może on jest i dobry ale dobre przy lepszym tanieje. Kiedy zaś jeden kawaler cudzy, a drugi swój; jeden poważny, a drugi upośledzony; jeden do zgongonej towarzysze swej do statki i wygody wszelkie ofiarujący, a drugi pozbawiony i takiego nawet kamienia, na którym by mu wolno było głowę położyć... to który lepszy? (*Cydzik powstał i namiętnie patrzy na Salusię*).

Pancewicz. A jakże, panie dobrodzieju!

Barbara. A pewno!

Zaniewski. Ma się rozumieć!

Salusia. Może być, że mój narzeczony jest cudzy i upośledzony, i własnego swego kamienia nawet nie posiadający, ale ja jemu przyrzekłam i słowa dotrzymać muszę.

Jaśmont (*b. grzecznie i pogodnie*). Słowo jest rzeczą ważną! pięknie to zatem za panną Salomeą przemawia, iż dotrzymać go żąda. Ale, co się tycze małżeństwa, to przysięga tylko przed ołtarzem świętym złożona dwoje ludzi na wieki wiąże, a dopóki jej nie było, wszystko można pocziwie a przystojnie rozwiązać, nikomu ubliży nie czyniąc, ale jednej stronie zarówno jak drugiej drogę do szukania szczęścia wolno pozostawiając.

Oktawia. A pewno! ten pan może sobie inną żonę znaleźć i dla niego daleko od Salusi stosowniejszą. Chłopinek, chwała Bogu, nie mało na świecie!

Konstanty. Temu panu — jeżeli dobrowolnie od mojej siostry nie odczepi się — ja wszystkie zęby w gardło wepchnę!

Salusia (*z ogniem*). Do tego pana ja bardzo przywiązana jestem, a żebym też i przywiązaną nie była, słowa jemu dotrzymać muszę.

(*Jaśmont chmurnie opuszcza głowę na piersi i zamyśla się. Władysław Cydzik siada bardzo zasmucony.*)

Zaniewski (*głośnym basem*). Babskie bałamuctwo!

Pancewicz (*pisqliwym szeptem*). Cicho! wrzawy przy gościach i w tak uroczystej okazji, panie dobrodzieju, czynić nie wypada!

Michał (*szeptem*). Ot! jak zaskaliła się w postanowieniu swoim.

Zaniewski (*szeptem*). Ziółko mieć będzie, kto taką

weźmie. *(Gabryel Salusi głowę przytakuje i uśmiecha się rozkosznie).*

Konstanty *(szarpie Salusię za rękaw i mówi szeptem, ale wścickie).* Salusi! upamiętaj się, bo jak Boga kocha, wyrzeknę się ciebie, grosza nie dam, za próg nie puszczę...

Jaśmont *(uderza się palcem w czoło, głowę podnosi i mówi znowu b. grzecznie z uśmiechem na ustach).* Choć na tutaj niespodziewana konfuzya spotkała, my jednakowoż interesu naszego za przegrany nie uważamy. Czas traci, czas płaci! Nie skrzywdzi siebie pan Cydzik, jeżeli tak zacnej pannie czas do namysłu zaotiaruje. Smętne to jest w oczekiwaniu na dekret zostawać, ale cierpliwość do nieba wiedzie. My też cierpliwymi będziemy. Wszystko jedno, trzeba na ztąd do Bohatyrowicz jechać, gdzie ja mam żonę i dziedzictwo do obejrzenia, a pan Cydzik krewnych swoich odwiedzi. Wracając zaś, czy tak, czy inaczej, tedy nam droga... więc pan Konstanty Osipowicz wybaczy częstym gościom, ale jutro o tej samej porze wstąpimy znowu, aby raz jeszcze do rozważań i dobrego serca panny Salomei zakolatać. *(Powstaje).*

Konstanty. Proszę... najpiękniej proszę. *(Ścisną go silnie za rękę).*

Oktawia, Barbara i Kończowa. Ślicznie prosimy
Pancewicz *(po cichu do Zaniewskiego).* Filut z tego Jaśmonta! Krótko, panie dobrodzieju, myślał a ja wymyślił!

Oktawia *(do Jaśmonta i Cydzika).* Ale proszę cokolwiek zjeść i wypić...

Jaśmont *(po cichu)*. Swatowi i odpalonemu konkurentowi ani jeść ani pić nie wolno.

Barbara. Aby tylko przegryść...

Kończowa. Choć kapeczkę...

Jaśmont. Za nic zgodzić się nie mogę. Stary obyczaj, dobry obyczaj! A i czas wielki w drogę ruszyć. Do Bohatyrowicz opentany kawał drogi, a i przez Niemien przeprawić się trzeba. No, żegnajcie mi panie. *(Ściska za ręce starsze siostry)*. No! panie Kostanty, do widzenia. *(Ściska go serdecznie)*. Czekałmy! Bóg łaskaw da upamiętanie. *(Idzie do Salusi, całuje ją w rękę, potem dość długo patrzy jej w oczy)*. Taki kwiatek do kożucha przypinać, krzywda ludzka i obraza boska! *(Cofając się i pociągając za sobą Władysława, ściska jeszcze ręce innych na odchodnem. Nareszcie staje w progu i mówi z powagą)*. Pokój temu domowi.

Wszystcy *(prócz zadumanej Salusi)*. I temu, co mówi! *(Jaśmontz Cydzikiem wychodzą. Pancewicz i Zaniewski wycrowadzają ich do sieni. Konstancy także, ale wkrótce wraca, staje przy oknie na lewo i zaczyna gniewnie gwizdać. Michał siedzi, prawie na środku izby. Emilia kręci się w kółko, nucąc jakąś piosnkę pod nosem. Salusia siada na kanapie; starsze siostry odstawiły stół na bok i otaczają ją)*.

Okławia. Salka! dla jakiej przyczyny ty nas żalem karmisz!

Barbara. Czy ty cudzego człowieka nad familię wyniesiesz!

Okławia. Szczęście to jeszcze, że ten Jaśmont taki rozumny. Ażeby nie... tobyś zginęła!

Kończowa. O Jerzego się nie bój! Pocieszy się prędko... o jej! Ja tobie tego wpierw nie mówiłam, ale wiem

dobrze, że on wielki bałamut. Wprędce drugą sobą
znajdzie.

Salusia (*zamyślona*). Abo ja wiem... abo ja wiem...
W głowie się kręci... Co robić sama nie wiem.

Oktawia. O sobie najwięcej pamiętaj. W garść ci
chać będziesz, łzami do grobu zcieczesz!

Barbara. Z ośmiorgiem dzieci!

Salusia. Dla czego z ośmiorgiem?!... Ot! już kon-
cznie z ośmiorgiem. Ty sama masz troje, a Okty-
tylko dwoje...

Barbara. To nie, że mam troje, a Oktyna tylko dwo-
ty ośmioro będziesz miała. Gdzie ty to podzieje-
kiedy on ani ziemi, ani chaty nie ma?

Oktawia. Ot! podziękowałabyś bratu, pocałowała-
go w rękę, że taki hojny dla ciebie, jakim dla
nigdy nie był... i skorzystałabyś z jego łaski...

Salusia. To i podziękuję. (*Powstaje i idzie do Konst-
tego*). Dziękuję Kostuś za twoje dobre chęci, za tw-
życzliwość... dziękuję, Kostuś, dziękuję! (*Chce
w twarz pocałować, on usuwa się niby zagniewany,
z ukosa spogląda na nią badawczo. Nagle chwytą ją
głowę i całuje w czoło parę razy*).

Konstanty. A będziesz jutro grzeczną? a będzie-
rozumniejszą?

Emilia (*tańczy, w ręce klaszcze i mówi jakby śpiewa-
A ja by nie poszła! a ja by nie poszła! Żeby
i brylantowy cały był, ten kołek, ja by za n-
nie poszła! (Kręcąc się, upada zdyszana mężowi na
łana i przyśpiewuje dalej całując go). Żeby Michał
razy chłop był i żeby sto razy swojej ziemi nie m*

ja by tylko za niego poszła, dalibóg za nikogo by nie poszła, tylko za niego!

(Michał wybucha głośnym śmiechem i całuje żonę. Salusia patrzy na nich chwilę i załamuje ręce nad głową).

Konstanty *(z krzykiem, gniewnie)*. Niech Emilka przestanie wyrabiać i wygadywać, bo jak Bóg na niebie...

(Wygraża pięścią i wybiega).

Michał. A! Kostanty... tego zanadto i ścierpieć nie mogę... *(Wybiega za nim)*.

Emilia *(chwytą go za poły i leci za nim)*. Czekaaj! mój złoty, mój brylantowy... rany boskie! *(Wybiega)*

Ktawia *(do Barbary i Końcowej)*. Jeszcze się poczubią, a my siostry, w tej okazyi, na to pozwolić nie możemy. *(Wybiegają)*.

SCENA DZIEWIĄTA.

GABRYEL, SALUSIA.

Salusia *(blednym wzrokiem wodzi i spostrzega Gabryela)*. Jak to dobrze, że Gabrys tu jest! może Gabrys mi co powie, może co poradzi. Ja taka biedna, biedna, biedna! *(Siada na zydelku, naprzeciw stojącego Gabryela, i mówi bardzo szybko, załamując ręce)*. Co mnie tu czynić? co mnie tu robić? Tak mnie oni męczą, tak straszą, takim wstydem karmią! Czy ich posłuchać, czy jemu słowa dotrzymać? czy familii wyrzec się i majątku, czy jego opuścić? Oj! nie mogę ani jednego, ani drugiego zrobić! Niech Gabrys mi poradzi. Mój drogi, mój złoty Gabrysin, poradź ty mnie cośkolwiek! Pomóż ty mi jakim sposobem, bo ja już taka nieszczęśliwa, że sama nie wiem, co się stanie ze mną.

Gabryel *(po chwili milczenia)*. Co ja tobie poradzę!... Jak mi tobie radzić?... Jeżeli za sercem pójdziesz, na ubocz zejdziesz, dla ścieżki gościniec porzucisz — źle tobie będzie na świecie. Tym ludziom, którzy za sercem idąc na ubocz schodzą, zawsze na świecie źle.

Salusia *(potakując kiwa głową)*. Gabrys sam na sobie tego doświadczył.

Gabryel *(poważnie, spokojnie)*. A jakże.

Salusia No, to co? opuścić mnie jego? *(Łzy dławia jej głos)*. Ja jego nigdy nie zapomnę... *(Splecione ręce załamuje nad głową)*. ...nigdy nie zapomnę... nie zapomnę!

Gabryel *(drżącym głosem)*. Tego nie można wiedzieć. Jedno słońce zachodzi, drugie wschodzi. Może też i dla Salusi insze słońce tak samo jak to świecić będzie!

Salusia. Gabrys tak mówi, bo Gabrys jego nie zna i nie wie jaki on śliczny, rozumny, dobry! Osobliwie dobry! Ja nawet nie wyobrażałam sobie, aby na świecie mógł być taki dobry człowiek. Podobałam się w nim i on mnie podobał się od razu, od pierwszego spojrzenia... Było to w czasie pożaru... *(Gabryel wzdycha i głowę odieraca)*. Gabrys nie słucha?

Gabryel *(z bólem)*. Słucham.

Salusia. Zaraz potem do Końców przychodzić zaczęła Anulka go zapraszała i pięknie przyjmowała, bo mówiła, że na takiego ślicznego chłopca i mężatce popatrzeć miło. My wkrótce poznali, co między nimi jest. Aż tu wszystkie dzieci Końcowej nagle porwały się i taka bieda, taki smutek i postrach zabili się w domu, że niech Pan Bóg broni! Wtedy

Anulce do pomocy stanęłam, a on mnie. Snu nie miał, ani najmilszej zabawy. Ciągłe na nogach był, na usługach naszych; zrobił się naszym towarzyszem, pocieszycielem. Bywało mówię mu: niech pan choć na spacer pójdzie! — a on tylko ramionami ruszy i powiada: będzie pora do spacerów, kiedy bieda przeminie! Wtenczas już ja poczułam, że na wieki przywiązałam się do niego... wtenczas z wiedzą i przyzwoleniem Końców my zaręczyli się z sobą. (*Pokazuje rękę z pierścionkiem*). Boże! mój Boże! czy ja wówczas spodziewałam się, że taka nieszczęśliwa i taka odgradzona od niego będę. (*Po chwili*). Raz to i ja troszkę chorowałam. Nie długo, trzy dni tylko, ale gorączka była taka, że musiałam leżeć. To czy wierzy Gabrys? że kiedy Anulka w drugiej izbie słabemi dziećmi zatrudniona, on bywało przez całe godziny u łóżka mego klęczy i w nogi mnie całuje... (*Gabryel odieraca się i z bólem wzdycha*). Co Gabrysiowi?

Gabryel. Nic.

Salusia (*dotyka mimowoli stanika pod szyją*). Ot! dziś, przed samym wyjazdem otrzymałam list od niego... odpowiedź na moje doniesienie, że brat rozgniewany grozi, iż ani grosza posagu mnie nie da. Więc on na to odpisuje: Ty o to nie dbaj, mnie twój posag niepotrzebny. Ja ciebie choć w jednej koszuli wezmę, a jeszcze za szczęśliwego będę się poczytywał przez to, że wszystko odemnie tylko jednego będziesz miała. Ot jaki on! I jak mnie tu jego wyrzec się, jak mnie o nim zapomnieć, jak jego przehandlować na tego kolka! (*Z łez przechodzi do śmiechu*). O Jezu! jaki on śmieszny ten Cydzik! jaki niezgrabny! I taka nie-

dostała trawa, taki smarkaty! Jaż od niego pewno ze trzy lata starsza.

Gabryel. A pewno. Jemu dziewiętnaście lat skończyło się niedawno. Ja o tem wiem. *(Po chwili milczenia)*. To niech Salusia za sercem idzie; niech na nic nie zważa, niczego się nie lęka i za sercem idzie.

Salusia. Łatwo to Gabrysiowi mówić! Mnie familii szkoda. Brat dla mnie dobry i siostr ja drugich takich nigdzie na świecie nie znajdę. Oni mnie wyrzekną się i noga moja już nigdy w tym domu, w którym rodziłam się i wyrosłam nie postanie. *(Walczy z płaczem)*. Przytem okropny wstyd mnie zdejmuję, kiedy ludzie najgrawają się, że on jest nieszlachetnego urodzenia, i okropny strach, kiedy pomyślę, że on ani kawałka swojej ziemi nie ma, ani domu swojego, ani takiego kamienia, któryby miał prawo pod głowę sobie położyć. Jak, broń Boże, miejsce straci, to co będzie? Tułać się przyjdzie po świecie. Nędza i hańba! A ten Cydzik z takiej familii i taki bogaty! Jeżeli za niego pójde Kostanty mnie dwa razy więcej da niż dał siostram... Co to jest na całe życie swój dom, swoją ziemię, swój posag i zgodę z rodziną i uważanie na świecie mieć!... Oj! czemu on nie z takiej familii jest i nie taki bogaty! Boże mój, Boże! jaka ja szczęśliwa byłabym, gdyby tak było! A teraz to sama nie wiem, co mam robić i w którą iść stronę. Sępy drapieżne w sercu mi zasiadły i drą je — zdaje się — na kawałeczki! Jak pomyślę, że jutro znownu swaty przyjadą... *(Zanosi się od płaczu)*.

Gabryel *(z bólem, poważnie)*. Wyniesienia chce Salusia chluby, honorów, dostatków... *(Urywa, jakby żałowa-*

tego co powiedział. Pochyloną głowę Salusi zaczyna gładzić ręką). Nic ja tobie nie doradzę; nie doradzić mocen nie jestem. Ja tego tylko żądam, aby tobie dobrze było. A po której stronie znajduje się twoje dobro? nie zgadnę. *(Cofa rękę, którą głaskał i usuwa się nieco w głąb)*. Sam sobie tak poradziłem, że drugim radzić sumienie nie pozwala. Ludzie przezwali mnie głupim... może też i nie innym jestem, tedy nie mogę być swojej rady pewnym. *(Cofa się powoli w tył ku drzwiom wchodowym)*. Ale tego tylko pewny jestem, że czy ty za sercem, czy za ambicyą pójdziesz, ja dla ciebie przygany nie najdę, bo jednego tylko żądam, aby tobie dobrze było... *(Cofa się ciągle, Salusia powstaje i wyciąga ku niemu ramiona. Gabryel mówi cicho, prawie szeptem)*. Niczego innego ja nie spodziewam się i nie żądam... Niczego! *(Wychodzi)*.

(Zasłona spada).

AKT TRZECI.

OBRAZ PIERWSZY.

Pokój jadalny w domu Kuleszów w Laskowie. Drzwi w głębi wychodzące na ganek. Za niemi widać dziedziniec z aktu pierwszego. Dwoje drzwi bocznych na prawo; jedno na lewo. Okno. Sprzętów dużo, ale skromne. Na jednej ze ścian obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Na przeciwległej ścianie zegar. Krzesła drewniane skórą lub ceratą obite. Kanapka staroświecka. Duży kredens dębowy. Stół nakryty do wieczerzy. Na stole lampa. Na innym stoliku lichtarze mosiężne ze świecami.

SCENA PIERWSZA.

TEOFILA, AURELIA, KAROLKA, później KUCHARKA.

Teofila (*wraz z Aurelią kończą nakrywanie stołu*). No, dobrze już, dobrze... Widzę czystą serwetę kładziesz dla pana Jerzego?

Aurelia. A bo ta od objadu była zbrukana...

Teofila (*wzdychając*). Ha! czemu by nie miałaś położyć! Niech Awrelka położy... ja się o to nie gniewam.

Aurelia. Wiem przecie, że mamie także chodzi o porządek...

Teofila (*bierze głowę Aurelii w dłonie i całuje córkę w czoło*). Mizerniejesz, smętniejesz... (*Wzdycha głęboko*).

Aurelia. Ależ nie mam, przeciwnie, bawiliśmy się niedawno wesoło, w stodole: tatko, Karolka, pan Jerzy i córka włodarza, Irenka — w cztery kąty a piec piąty.

Karolka. A pan Chutko ciągle Awrelkę łapał i młynka z nią wykręcał!

Teofila (*do Karolki*). Tobie, Karolka, co do tego?

Karolka (*nadąsana*). Bo ze mną wykręcać nie chciała! Stałam w kącie, jak zamurowana!

Teofila. Poszłaśbyś lepiej do kuchni powiedzieć kucharce, żeby wieszczę podawała.

Karolka. Kiedy jeszcze ani tatko, ani pan Jerzy nie przyszedł.

Teofila. To niech Karolka ich grzecznie poprosi.

Karolka (*biegnie do drzwi w głębi i woła*). Panie Jerzy, panie Jerzy! proszę grzecznie na wieszczę.

Jerzy (*za sceną*). Zaraz służę.

Karolka. Tatku!... czy tatko zaraz przyjdzie?

Kulesza (*za sceną donośnym i wesołym głosem*). Nie zaraz jeszcze, bo z panem Jerzym rozmawiam.

Karolka. Oho! jak tatko tak odpowiada, to znaczy, że trzeba zaraz lecieć do kuchni! (*Wybiega na lewo*).

Teofila (*idzie do drzwi od ganku i woła*). Jezus, Marya! Floryan!... już dawno pora ci jeść! Jak wygłodniejesz, to objesz się zanadto i — broń Boże — zachorujesz.

Kulesza (*za sceną*). Niechże Teofila nie jęczy, zaraz przyjdziemy.

Teofila (*wzdychając*). Oj! z tym ojcem co kłopotu, co kłopotu, Boże! (*Zwraca się do Aurelki, bierze ją za głowę i w czoło całuje*). Na Awrelkę to już i patrzeć nie mogę, taka jakaś blada, zmieniona... Objadu dziś nie jadłaś, tracisz apetyt!

Aurelia. Zkąd mamو droga! Jem jak rodzona córka tatki... za dwoje, za troje czasem!

Teofila (*wzdycha*). Ot! mówisz tak Aurelko, aby mnie tylko uspokoić! Och!

Karolka (*wpada z lewej strony. Za nią kucharka z dygniącą się salaterką*). Jest i wieczerza! (*Skacze i tańczy po pokoju*). Tralalala! wieczerza! tralalala! wieczerza! (*Do kucharki*). Tu, tu, tu, niech Magda postawi... A zgrabnie! żebyście broń Boże obrusa nie zwalali. (*Kucharka stawia i wychodzi na lewo*).

Teofila (*do Karolki*). Chodź-no tu smarkata!... Niech Karolka weźmie chleb i pokraje w małe, cienkie kromeczki. (*Pokazuje jak ma krajać*). Ot! tak. A ostrożnie! nóż ostry. (*Karolka przykłada bochenek do piersi i kraje*). Jezus, Marya! jak kraje!... jeszcze się ska-

leczy. Oddaj! oddaj! (*Odbiera chleb i nóż*). Już wolę sama pokrajać!

Karolka (*to śmiejąc się, to nucąc*). Stała panna pod drzewem i krajała chleb. Przekrajała bochenek, przekrajała siebie, przekrajała drzewo... Wszystko się rozleciało! Tralalala! Tralalala!

Teofila (*krzyczy*). Cicho ty bądź, Karolka! (*n. str.*) Jakie to rozkoszne, jak małe kociątko!

SCENA DRUGA.

CIŻ SAMI i JERZY.

Jerzy (*wchodzi i całuje w rękę Teofilę*). Dobry wieczór pani... (*Kłania się i mówi dalej*) i wesolącej się panie Karolce...

Teofila. Co ona za panna! smarkata i tyle!

Jerzy (*całuje w rękę Aurelię*). I pannie Aurelii dobry wieczór. (*Kładzie kaszkiet na jednym z mebli i strzelbę stawia w kącie*).

Teofila (*wskazując na strzelbę*). Jezus, Marya! a nie wystrzeli?

Jerzy (*wesoło*). Nie ma obawy! ona mnie tylko słucha, i tylko na mój rozkaz daje ognia. (*Zbliża się do Aurelii*). A z panny Aurelii fałszywy prorok.

Aurelia. Cóż ja panu Jerzemu przepowiadałam? Już i nie pamiętam!

Jerzy. Że dziś list będę miły miał.

Aurelia. Czy nie przyszedł?

Jerzy. Posłaniec z poczty wrócił... lecz bez listu!

Aurelia. A pan Jerzy niespokojny?

Jerzy (*niewiele przyciszonym głosem*). A niespokojny jestem!

Pani o wszystkim wie, bo ja wszystko pani powierzyłem. Zdaje się, że lepszej przyjaciółki nad pannę Aurelię mieć nie mogę, więc i to powiem, że cały dzień dzisiejszy takie myśli mam w głowie: może oni ją za mnie bardzo męczą i prześladują, może ona zachorowała, może jej w pisaniu do mnie przeszkody stawiają... (*Przeciera ręką czoło*).

Aurelia (*patrzy na niego przez chwilę w milczeniu, a potem mówi*). Niech tylko pan Jerzy o jej wierności żadnego wątpienia nie ma, bo toby panu bardzo bolesnem było.

Jerzy (*z dumą i przekonaniem*). Ja też tego wątpienia nie mam. Wiem dobrze, iż ona dla mnie, tak jak ja dla niej, zmienić się nie może. Ale takie przeszkody i nieprzyjemności...

Aurelia. Kochającemu sercu wszystko łatwo, aby tylko do swego celu dojść zdołało.

Jerzy. A z kądże panna Aurelia wiedzieć o tem może, kiedy niedawno mówiła, że nigdy jeszcze w życiu nie była zakochaną?

Aurelia (*bardzo zmieszana*). No... tak... widzi pan Jerzy: z tego co myślę... i z tego co od ludzi słyszę... a i w książkach nieraz czytałam... Zresztą, Boże, alboż ja wiem! (*Wchodzi Kulesza*).

SCENA TRZECIA.

CIŻ SAMI i KULESZA.

Teofila. Nareszcie Floryan przyszedł, a tu jedzenie już oziębło... Jeszcze, Boże broń, może Floryanowi zaszkodzić!... Możeby postać do odgrzania...

Kulesza. Daj pokój!... zagadałem się z faworytem pana Jerzego, leśnikiem Grzegorzem, o owych sągach na zimę... a teraz chwilę zatrzymałem się na ganku, bo dojrzałem, że ktoś we wrota konno wjeżdża, rozpoznać nie mogłem o zmroku... Karolka! leć-no się dowiedz!

Karolka. Lecę tatku! (*Wybiega drzwiami w głąb*).

Kulesza. Możeby Teofila zapaliła lampę. Ciemno choć oczy wykol! Ja nie kot, żebym jadał po ciemku... a i do gęby nawet w takiej pomroce nie trafię. Teofila może trafi, ale ja nie!

Teofila (*zapalając lampę*). Chyba Floryan widzi, że już zapalam. (*Pokój się rozwiidnia*).

Kulesza. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Wszyscy (*robiąc znak krzyża świętego na piersiach*). Na wieki wieków. Amen.

Kulesza. No, kiedy już jasno i zapaszek jakiś przyjemny zalatuje od salaterki, siadajmy do stołu (*Siada i zawiązuje serwetę pod brodę*). Awrelka!... panie Jerzy!... proszę, proszę.

Karolka (*wpada zdyszana*). Do pana nadleśnego... do pana Jerzego... posłaniec z listem... pooślaniec z Tooołoooczek!

Aurelia (*do Jerzego*). A co? czy fałszywy prorok ze mnie?

(*Jerzy, z wielką radością na twarzy, stoi jak wryty, ani się rusza*).

Kulesza (*do Karolki*). No i cóż ten posłaniec, Karolka?... Czy czeka na ganku?

Karolka (*jeszcze zdyszana*). Ja biegłam... on stąpał powoli za mną jak słoń... ot tak! (*Podrzeźnia ciężko*).

chód i duże kroki mężczyzny).ale już chyba musi być...

Kulesza. Zawołaj... powiedz, żeby wszedł.

Karolka (*wychylając się za drzwi w głębi*). Człowieku! proszę wejść... (*do zgromadzonych*). Już idzie! (*Biegnie do stołu*).

Kulesza (*który z oka Jerzego nie spuszczał, mówi n. str.*). Cierpliwy! czyli taki pewny siebie. Ja w jego wieku, to jużbym ze skóry wyskoczył i na przelaj pędził!

(*Wchodzi posłaniec w wiejskiej odzieży, z krótkim batem w rękę. Zatrzymuje się przy drzwiach. Oddaje wszystkim głęboki ukłon.*)

SCENA CZWARTA.

CIŻ SAMI, POSŁANIEC.

Jerzy (*spokojnie*). Kto ty taki?

Posłaniec. Parobek od Konstantego Osipowicza, z Tołłoczek. (*Sięga w zanadrze i wydobywa list*). To od Salusi Osipowiczówny... od panienki.

Jerzy. Daj. (*Posłaniec podaje. Jerzy chwytając list, rozdziera szybko kopertę, z której wypada na podłogę z brzękiem pierścioneł. On z osłupieniem spogląda nań chwilę. Potem zbliża pismo do oczu i czyta. Blednie, zagryza wargi, panuje jednak widocznie nad sobą, aby nie wybuchnąć*).

Aurelia (*przerażona*). Ach!

Teofila (*z jękiem*). Jezus, Marya!

Kulesza (*półgłosem*). Cicho baby!

Karolka (*która wybuchła dziecinnym śmiechem, ale pod*

groźnem spojrzeniem ojca nagle umilkła, biegnie i podnosi pierścioneek). Ach! jaki śliczny pierścionecek!

Kulesza (groźnie). Oddaj zaraz panu Jerzemu!...

Karolka (oddając). Oto jest... chciałam tylko... (Urywa. Jerzy machinalnie odbiera pierścioneek i chowa. Karolka przerażona wyrazem jego twarzy, cofa się).

Jerzy (trzyma list w ręku; chwilę się waha, a potem zbliża się do Aurelii). Może pani, panno Aurelio, z łaski swojej przeczyta, bo mnie wszystko mieni się w oczach. Nie widzę... nie rozumiem...

Aurelia (bierze list do ręki i czyta drżącym głosem). „Bardzo mnie jest przykro i boleśnie, że pana Jerzego pożegnać muszę i to na zawsze...” (Zwraca list Jerzemu). Nie mogę... I ja dobrze nie widzę.

Jerzy (do Kuleszy). Może pan?

Kulesza (bierze list). Ja?!... Ha! Kiedy sobie tego życzysz...

Jerzy. Proszę.

Kulesza (czyta). „Bardzo mnie jest przykro i boleśnie, że pana Jerzego pożegnać muszę, i to już na zawsze, ale widać taka jest wola Boska: i podług woli rodziny mojej postąpić mi trzeba, która mnie pięknie prosi, a jak nie, wyrzec się i przekląć obiecuje. Niech pan Jerzy będzie upewniony, że z wielką trudnością to postanowienie dokonywam, ale muszę, bo gdyby tak stało się, jak kiedyś myśleliśmy sobie i pragnęli, pewnie obojgu nam nie byłoby dobrze na świecie.”

(Jerzy śmieje się gorzko. Kulesza przerwał czytanie, którego Teofila i Aurelia słuchały z uwagą).

Aurelia (*n. str.*) Boże! on dopiero teraz przy głośnem czytaniu zrozumiał!

Jerzy (*panując nad sobą*). Proszę... czytaj pan dalej.

Kulesza (*czyta*). „Niech pan Jerzy będzie jak najszczęśliwszy i niech wszystko na świecie panu sprzyja. Ja dla pana na wieki zostanę życzliwą, a teraz bardzo smutna jestem i, lzy wylewając, to piszę. Ten zaręczynowy pierścioneł, który mam od pana, odsyłam, a ten, który pan ma odemnie, proszę bardzo, aby pan na pamiątkę schował, od nieśczęśliwej i wiecznie panu życzliwej: Salomei“.
(*Oddaje list*).

Jerzy (*odbiera go. Przygląda mu się uważnie, jakby raz jeszcze czytał; potem zwraca się do posłańca i mówi*). Czy panna Osipowiczówna sama tobie ten list oddała?

Posłaniec. Sama... a jakże, sama. A Konstanty Osipowicz to tylko przykazał mnie panu powiedzieć...
(*Urywa z widocznem wahaniem*).

Jerzy. Co?

Posłaniec. Ha!... Konstanty Osipowicz kazał to tylko powiedzieć: że nie dla psa kielbasa i jego siostra nie dla takiego, którego baćko jeszcze w skórę brał!
(*Jerzy patrzy nań nieprzytomnie*).

Jerzy (*nagle, z krzykiem*). A!... a! (*Biegnie po strzelbę, chwytą ją i mierzy do chłopca*).

Kulesza (*który go obserwował, zrywa się i wydziera mu fuzję*). Daj pokój! daj pokój! Posłańca nie wieszają i nie ścinają. (*Zwraca się do Aurelii i oczami wskazuje na włościanina*). Awrelka! zaprowadź go do kuchni i jeść mu daj!... Uspokój się panie Jerzy, uspokój...

Chodź ze mną do mojej kancelaryi, tam będziemy sami. (*Chce go wziąć pod ramię i odprowadzić, ale Jerzy mu się wyrywa*).

Jerzy (*przejęty gniewem zrywa z palca pierścioneł, rzuca go posłańcowi w twarz i mówi gorączkowo*). Masz! Pannie Salomei powiedz odemnie, że ja żadnych pamiątek od niej nie potrzebuję... a panu Osipowiczowi, że ja pięknie się kłaniam jemu i zapowiadam, że nie daj Boże, aby on kiedykolwiek jeszcze przeciw ojcu mojemu językiem chlasnął, bo jeżeli to do uszu moich dojdzie, przyjadę... i jak Bóg na niebie, łeb roztrzaskam. Tak powiesz, rozumiesz: łeb roztrzaskam... Nie kijem, pałką, ani toporem to uczynię, bom nie zbójca, ale wprost kulą... z tej ot mojej strzelby! (*Wyprostowuje się dumnie, spogląda po wszystkich, bierze kaszkiet do ręki i zmierzając ku drzwiom mówi kłaniając się*). Dowidzenia, państwu.

Karolka (*zabiegając mu drogę*). A wieczera, panie Jerzy... wieczera?...

Kulesza (*tupie nogą*). Cicho bądź!... daj pokój, nie zatrzymuj!

Jerzy (*dumnie i poważnie*). Wrócę... wkrótce wrócę. (*Wychodzi głębia*).

Kulesza. Niech się wysapie po żalu i gniewie. W samotności łatwiej mu to przyjdzie, aniżeli pomiędzy nami. (*Zwraca się do Aurelii*). Awrelka! nie przecieraj oczu, jakbyś się z ciężkiego snu tylko co obudziła; zaprowadź posłańca do kuchni. Dać mu jeść!

Posłaniec. Do nóg upadam wielmożnemu panu. (*Kłania się nisko i wychodzi za Aurelią na lewo*).

Kulesza. Z Bogiem!... z Bogiem!

Teofila (*jęcząc i wzdychając*). Ach! co się stało! co się stało!

Kulesza. Stało się, co się stać miało. Żal mi chłopaka... no! ale rozpaczać i szlochać nie ma powodu... Teofila zaś już... już gotowa...

Teofila (*przerywając i zagadując*). Wszystko wystygło!... Mocny Boże, z taką wieczerzą!... Możeby Floryan jadł?

Kulesza. Przecież na niego zaczekać należy. Powiedział, że wróci...

Teofila. A to już chyba zaniosę do kuchni, żeby odgrzać. Karolka! weź salaterkę... a Floryan niech ma cierpliwość i zaczeka...

Kulesza. Zaczekam. Mówią: od cudzego frasunku głowa nie boli... a mnie, powiem prawdę, prawie się już jeść odechciało!

Teofila. Jezus, Marya! jeszczeby czego! Pójść spać bez wieczerzy, dla Floryana pewna choroba. (*Do Karolki, która wzięła salaterkę*). Ostrożnie!... żebyś nie rozlała!

Karolka (*nagle wybucha śmiechem i mówi po cichu do matki*). Mamo!... jaka ona głupia, że taki śliczny pierścionek odesłała!

Teofila. Co ty wiesz?! (*Popychając ją*). No... idź już idź! (*Puszcza Karolkę przed sobą, a potem sama za nią wychodzi*).

Kulesza. (*Sam. Przechadza się czas jakiś zamyślony. Potem zaczyna gwizdać. Potem znowu przechadza się i gestykuluje. Wreszcie staje i mówi*). Nieraz człowiek mówi: głupia baba, ot! bzdurstwa plecie... albo: u niewiasty włosy długie, a rozum krótki... tymczasem,

patrzcie się państwo: wyprorokowała... jak Boga ko-
cham: wyprorokowała!... Zaręczyny, pajęczyny—mó-
wiła... I prawda, jak pajęczyny na wietrze, rozle-
ciały się te zaręczyny... Żal mi chłopca, żal szczer-
ale widocznie już tak było sądzono. A chwat! ja-
to się umie trzymać i wzruszenie ukrywać! Oho
nie lada siła woli w nim... nie lada siła!

Teofila (*zdyszana wchodzi z lewej*). Czy Floryan wie
że ta panna już z kim innym zaręczona?... Słyszy
z Cydzikiem, który jeszcze smarkaty jest, ale jedy-
nak u ojca i bogacz!

Kulesza (*niby żartując, ale mocno zaciękawiony*). Od ja-
kiej-że to sroki Teofila wiadomość tę powzięła?

Teofila. A toż ten posłaniec Aurelce w kuchni roz-
powiedział. Dużo tam pono w Tołłoczkach było ha-
łasu—mówił... i proszenia i grożenia. Dwa razy
swaty przyjeżdżały. Za pierwszym razem zreku-
wała, a za drugim zgodziła się narzeczoną pan-
Cydzika zostać.

Kulesza. Taka to babska stałość!

Teofila. Kiedyż podobno, słyszę, familia jej odetchna-
spokojnie nie dawała; ciągle wyrzucali, że on chłop-
i ziemi swojej nie ma.

Kulesza. Kpy, osły, bałwany, barany!

Teofila. Floryan mówi: kpy, osły, bałwany, barany
a ja mówię, że pomyślawszy, to może oni rac-
mieli. Zawszeż to prawda, że on chłop!

Kulesza (*wyprostowany patrzy na nią surowo, ta milknie*
Po chwili Kulesza mówi). Niech Teofila posłucha.
Teofilę szanuję, bo matką moich dzieci jest, i za-
wsze pocziwaj, pracowitą kobietą będąc, moję

przywiązania nigdy nie zawiodła. Ale teraz to mówię i przysięgam, że jeżeli Teofila kiedykolwiek przy nim, albo też i bez niego, choć słoweczko o jego chłopstwie piśnie... to... to... *(chwilę zastanawia się, poczem wali pięścią w stół)*. ...to ja z Teofilą do rozwodu pójdę!

Teofila *(chwilę nieruchoma, z wytrzeszczonymi oczami, patrzy na niego. Potem nagle zaczyna się śmiać)*. O! o! o!... u Floryana zawsze facecye...

Kulesza *(przerывая)*. To nie facecye!... Do rozwodu z Teofilą pójdę, jak Bóg na niebie! *(Patrzy na przerażoną żonę. Po chwili zaczynają mu się wargi trząść od powstrzymywanego śmiechu)*. I ożenię się z młodszą, ładniejszą, a zwłaszcza z mądrzejszą... *(z naciskiem)* a zwłaszcza z mądrzejszą!

Teofila *(ledwie mogąc wykrztusić wyrazy)*. Floryan... plecie!

Kulesza. Wcale nie pletę i Teofilę upewniam, że jeżeli mnie w tym razie nie posłucha, to znajdzie między nami... cokolwiek... coś złego! Bo to nieladne facecye komuś pochodzenie niższe wypominać; bo, po pierwsze: głupi zabobon, a po drugie: wielki grzech, daleko większy, niż po ciężkiej pracy w piątek i sobotę mięso jeść. Niechże Teofila lepiej już w piątki i w soboty postu mnie nie nakazuje, a głupią być przestanie i grzechu względem bliźniego swego nie popełnia.

Teofila. Floryan o bliźnich mówi, a i Osipowicze zdaje się chrześciance tak jak i my, jednak w nim bliźniego nie увидzieli!

Kulesza. Ot! i powiedziała! Wiadomo przecie, że i Chrystus Pan nie zdołał wszystkich grzeszników

nawrócić!... Oslów i baranów w ludzi przemieniać, to nie łatwa rzecz! Ale co Teofili do tego? Byleby sama ani oślicą ani owcą nie była!... A teraz marsz do kuchni, bo po moich refleksjach i bzdurstwach Teofili strasznie się w mojem wnętrzu głód obudził. Idę do kancelaryi napić się kieliszek wódki i za moment wracam. (*Wychodzi na prawo*).

Teofila (*stoi chwilę zamyślona*). Jezus, Marya! jak tak ze mną pogada, to widzi mi się, jakby mi mózg w głowie na tycią sieczkę pokrajał! (*Wychodzi na lewo*).

SCENA PIĄTA.

JERZY, GRZEGORZ później KULESZA.

Jerzy (*mówi do Grzegorza stojącego jeszcze na ganku*). Zaraz!... jak pójdziemy razem do lasu, to mi wszystką opowiesz. (*Odwraca się i spostrzega, że nie ma nikogo*). Wraca do drzwi od ganku i mówi). Nie ma nikogo... wszyscy wyszli... a to... niech Grzegorz wejdzie (*Grzegorz wchodzi*). Mów więc... O co chodzi? o co Grzegorz chciał mnie prosić?

Grzegorz. A to widzi pan nadleśny, kowal z Wsilkowiec, co był tu przejazdem dziś rano, mówił że matka moja zachorowała; chciałem więc uprosić pana nadleśnego, żeby mnie na trzy dni zwolnił od obowiązku. Za trzy dni z pewnością wrócę.

(*Kulesza wchodzi. Jerzy go nie spostrzega*).

Jerzy (*po krótkim namyśle*). Dobrze, jedź sobie, a tyko dłużej nad trzy dni nie baw!

Grzegorz. Jak Boga kocham, święte słowo...

Jerzy (*zamyślony*). Dobrze, jedź Grzegorzu...

Grzegorz (*chyląc mu się do kolan*). Dziękuję panu nadleśnemu. (*Chce odejść*).

Jerzy (*go zatrzymuje i mówi do niego głosem wzruszonym i drżącym*). Ja ciebie Grzegorzu, przy tej okazji o jedną przysługę poproszę. Będiesz tam niedaleko chaty mojej przejeżdżał... Znasz tę grobelkę, co to przez las idzie, a z dwóch stron koło niej krzaki malinowe rosną?

Grzegorz. Wiem.

Jerzy (*j. w. z pewnem odcieniem rozmarzenia*). Otóż zaraz za malinami droga skręca na prawo w piękny dębowy las... Dęby rzadko stoją, a pomiędzy niemi gdzieniegdzie brzozy i jarzębiny... tą drogą, z grobelki skręciwszy, dwie małe wiorsty będziesz miał do chaty leśnika, Mikołaja Chutki... to jest mojego ojca. Bądźże tak dobry dojedź tam i powiedz, że ja bardzo proszę, aby ktokolwiek z domu jak najprędzej do mnie przyjechał, czy ojciec, czy matka... najlepiej matka. Powiedz tylko, że bardzo pięknie proszę i koniecznie... koniecznie...

Grzegorz. Dobrze, powiem... bezwątpienia powiem.

Jerzy. Ja ci ślicznie podziękuję, jak wrócisz. No idź już z Bogiem, idź. (*Grzegorz kłania się i odchodzi*).

Kulesza (*zbliża się*). Pan Jerzy bardzo widać zateęsknił do rodziny, skoro tak nagli, aby matka rychło przyjechała.

Jerzy. Pan tu był?... przepraszam... nie spostrzegłem.

Kulesza. Synkowi przykrzy się bez pieszczot mamy.

Jerzy (*zimno i dumnie*). A zatęskniłem. Prawie trzy miesiące nikogo ze swoich nie widziałem.

Kulesza. Spodziewam się, że pan Jerzy i tu nie jest pomiędzy cudzymi.

Jerzy (*j. w. kłania się*). Za życzliwość bardzo dziękuję, ale wiem dobrze, jak daleko od tego, abym był państwem swoim. (*Poruszenie Kuleszy*). Co się zaś dotyczy rodziców moich, to nic dziwnego, że mam dla nich serce i uszanowanie. Ojciec jest człowiekiem bardzo poczciwym i wiele dobrego dla mnie zrobił, a matka taka, że chyba lepszej nikt na świecie mieć nie może!

Kulesza. Dobry z ciebie syn, panie Jerzy; masz znaczne serce. (*Wyciąga doń rękę. Jerzy jakby nie widział, idzie po strzelbę i zaczyna ją oglądać. Kulesza zaś mówi na stronie*). Co u licha taki obojętny dla mnie! Nie śmiem z nim mówić o tem, co się stało. Niby lodem mrozi. (*Na widok wchodzących do pokoju*). No! siadajmy do wieczerzy! (*Jerzy spostrzegłszy, że Aurelia niesie salaterkę, odbiera jej i stawia na stole*).

SCENA SZÓSTA.

CIŻ SAMI, TEOFILA, AURELIA, KAROLKA.

Aurelia. Dziękuję panu.

Jerzy (*bardzo zimno*). Nie ma za co. (*Aurelia spogląda na niego ze zdziwieniem*).

Kulesza (*już siedzący*). Siadajże pan, tu między mną a Teofilą, na swoim zwykłym miejscu.

Jerzy (*całuje rękę Teofili i mówi bardzo zimno*). Ja wstąpię.

śnie przyszedłem przeprosić, że dziś z państwem do wieczerzy nie siędę.

Teofila. Dla czegoż to, dla czego?

Jerzy (*j. w.*) Doniesiono mi, że w piątym rewirze popełniono dziś kradzież... znaczną szkodę... A przytem mam wiele zajęcia... rachunki...

Kulesza. Które prowadzisz wzorowo.

Jerzy (*j. w.*) Nad którymi noc całą przesiedzę...

Kulesza. To dla tego właśnie potrzeba się posilić, wzmocnić...

Teofila (*zapraszając*). Bardzo by nam było przykro...

Jerzy (*nagle przerywa*). Ja i jutro, ani na obiad, ani na wieczerzę nie przyjdę...

Kulesza. A to czemu?

Jerzy (*ciągnie dalej, tonem jak w.*). Wiele zajęcia mam... w lesie. Zjem sobie cokolwiek u którego z leśników, a wieczorem w swoim mieszkaniu herbaty się napiję i dosyć mi będzie.

Teofila. Jezus, Marya! a toż nam panie Jerzy wielki smutek sprawiasz tem postanowieniem.

Jerzy (*j. w.*) Chciałem właśnie powiedzieć, że pojutrze... tydzień cały... a może dwa i więcej całkiem przychodzić już nie będę...

Teofila. A toż co? Chyba pan Jerzy...

Kulesza (*trącając żonę*). Cicho!

Jerzy (*j. w.*) I dla tego przyszedłem pożegnać: panią dobrodziejkę (*całuje Teofilę w rękę*), i pana (*kłania się*)... i dobrej nocy życzyć pannie Karolinie, pannie Aurelii...

Kulesza (*wstaje i wyciąga doń rękę*). Musisz być zmęczony. No! to idź spać, a jak się prześpisz, wypo-

czniesz i z dobrą myślą wstaniesz, to jutro pogadamy o...

Jerzy (*j. w. przerywa*). Jutro, skoro świt, ruszam do lasu (*kłania się*). Żegnam państwa. (*Idzie po kaszkiet, który na krześle pozostawił, potem bierze strzelbę i przerzuca ją przez ramię*).

Kulesza (*na str. siadając do stołu*). Wodą z lodem oblewa!

Aurelia (*która siedząc przy stole nie jadła i ani chwilę oka z Jerzego nie spuszczała, nachyla się do ojca i mówi po cichu*). Tatku! czy można?... powiem panu Jerzemu tylko jedno słowo.

Kulesza. Ha! powiedz i ty swoje słówko... może ty lepiej mu wytłómaczysz...

(*Aurelia wstaje i idzie do Jerzego, który zarzucając fuzyj na ramię stoi zwrócony do niej plecami*).

Aurelia (*szeptem*). Panie Jerzy!

Jerzy (*odwraca się i mówi tonem j. w.*). Co pani rozkaże?

Aurelia (*wstrząsnęła się*). Ja nic nie każę!... Powiedź pan, dla czego jesteś taki jakiś... taki, jakbyś nas wszystkich pierwszy raz w życiu swoim widział? Ja tylko chciałam powiedzieć, aby pan nie martwił się bardzo. Mój panie Jerzy, mój drogi panie Jerzy, proszę nie martwić się... Wszystko przejdzie. Może też Pan Bóg da, że szczęście znowu kiedykolwiek dla pana zaświeci... może...

Jerzy (*j. w.*). Pani wstała od wieczerzy, a rodzice czekają...

Aurelia (*nie dając mu skończyć*). Mój panie Jerzy! niech pan nie będzie choć ze mną taki jakiś obojętny...

tny, czy też ambitny... i tak jak dawniej wszystko mi powierza... Przecież to złej jest, kiedy człowiek może komukolwiek wszystko powierzyć.

Jerzy (*przyciszonym głosem*). Ja pannie Aurelii bardzo wdzięczny jestem za przyjaźń, którą mi pani okazuje, ale przyjąć mi jej nie wolno... ona pomiędzy nami być nie powinna. Dobrze życząc pannie Aurelii, nie chcę swoją przyjaźnią ubliżenia pani sprawić...

Aurelia. Co pan wygaduje?

Jerzy. Dziś rano jeszcze inaczej myślałem, ale potem taką srogą naukę mi dano, że o niej, póki życia nie zapomnę i na zawsze już będę wiedział do kogo powinienem przybliżyć się, a od kogo trzymać się w oddaleniu, aby mnie potem nie oddalono. Wiele z tego, co było we mnie przewróciło się obecnie do góry nogami, albo też i zupełnie znikło, a choć życzliwość moja dla pani nie znikła, jednakowoż okazywać mi jej nie trzeba, aby czasem przez to kogoś nie obrazić i pani nie pokalać. Dobranoc pani. (*Idzie ku drzwiom i raz jeszcze wszystkim się kłania*). Dobranoc, państwu. (*Wychodzi*).

SCENA SIÓDMA.

CIŻ SAMI prócz JERZEGO.

Kulesza (*który zmiotł pełen talerz*). Tak mnie oziębł, (*odsuwa talerz*) że aż apetyt straciłem. — Awrelka! pójdź sam tutaj... (*Aurelia ociera ukradkiem łzę kręcąc się w jej oku i zbliża się powoli do ojca*). No, i cóż?

Aurelia. Nic... nie tatku! (*Siada zamyślona przy stole*).

Kulesza. Zaskalił się w swoim bólu i żalu...

Teofila. Czy wie Floryan, że wielką desperacyę po nim widać. Niby on udaje, że nic nie czuje, a desperacya aż z niego bije! Gadał do mnie a w drugą stronę patrzył... jak waryat! Żeby on sobie tylko czego złego nie zrobił!

Aurelia. Myśli mama?!

Kulesza. Ot! głupstwo!

Aurelia (*n. str.*). Boże! (*Opiera głowę na dłoni i zamyśla się*).

Teofila. Co to jest fuzyę ciągle na plecach trzymać, w desperacyi będąc! Niech Floryan cokolwiek na to poradzi, żeby on sobie czego złego, broń Boże, nie zrobił!

Kulesza. Et! bajki babom!

Teofila (*kręcąc głową i jęcząc*). Ach! ach! ach! do czego to zawiedziona miłość człowieka doprowadzić może!

Kulesza. Czy Teofila zawiedzionej miłości doświadczała, że o niej tak mówi? Zdaje się, że ja nigdy takiego zawodu nie sprawilem, więc chyba obom mnie był u Teofili jeszcze kto inny.

Teofila (*z oburzeniem*). Floryan plecie!

Kulesza (*ociera serwetą usta i wstaje od stołu*). Niech Teofila sobie żadnych strasznych myśli do głowy nie przypuszcza. Jerzy jest zanadto rozsądnym, a dla lekkomyślnej dziewczyny...

Aurelia (*bezmysłnie powtarza*). Lekkomyslniej dziewczyny!

Kulesza. Która go opuściła, życia siebie pozbawia

miał. Posmęci się trochę, posmęci i przestanie. Najlepiej go przez czas jakiś w spokojności pozostawić. Niech je gdzie chce, i robi co chce, dopóki się nie wysapie, a jak się wysapie, taki będzie jak był.

Teofila. Daj Boże!

Kulesza. A teraz spać!... Patrzcie, już dziesiąta!
(*Idzie do kanapy, na której Karolka, zjadłszy wieczerzę, w ciągu tego co powyżej, położyła się i usnęła. Budząc.*)
No! mała, wstawaj!

Karolka (*zrywa się*). Co?... co?... co?... Wszelki duch Pana Boga chwali. (*Przeciera zaspane oczy*).

Kulesza. I ja go chwale!

Karolka (*przecierając oczy*). Tak mi się coś strasznego śniło: wiedźmy, upiory, wilkołaki...

Kulesza. Sen mara!... Idź matce i siostrze pomóż sprzątnąć ze stołu, zmów pacierz, rozbierz się — i do łóżka! (*Karolka całuje ojca w rękę, on ją w czoło*). Awrelka także niech nie duma...

Aurelia (*jakby nagle przebudzona powstaje*). Co tatku?

Kulesza (*podrzeźniając*). Co tatku?... Nic. Tylko nie dumaj... nie dumaj, bo choćbyś nie wiem jak dumiała królową nie będziesz. Dobranoc. (*Całuje ją w czoło, ona go w rękę*). Teofili także dobranoc życzę. Już i gazetki Awrelka mi nie przeczyta, bo późno. Sam sobie, co nie co przerzucę w kancelaryi, a potem — jak posłyszę, żeście już chrapnęły — spełnię mój ostatni codzienny gospodarski obowiązek: jeszcze obejdę dom w koło, aby się przekonać, czy wszystkie światła pogaszone, oraz wszystkie drzwi i okna zamknięte.

Teofila. Zmęczony jesteś, możebyś się zaraz położył, a ja już za ciebie obejdę...

Kulesza *(zapala zapalką świecę w lichtarzu).* Dziękuję Teofili za jej dobre serce, ale ja sobie tylko wierzę i swoim starym oczom. Dawniej to i parobczyńskie mieszkania tak oglądałem, ale dziś... et!... Dobranoc wszystkim. *(Wychodzi na prawo).*

(Scena niema. Kobiety powoli wszystko sprzątają w milczeniu. Strzepują obrus, składają serwety. Ustawiają naczynia na półkach kredensu. Aurelia, wciąż zamyślona, robi wszystko jak nieprzytomna. Niosąc stos talerzy idzie przed siebie z oczami utkwionemi w przeciwną ścianę)

Karolka. Awrelka! co ty tak z błędnymi oczami idziesz, jakbyś blekotu się objadła? Na ścianę wleziesz i talerze potłuczesz! *(Aurelia zatrzymuje się, spogląda po wszystkich, jakby oprzytomniała i zanosi talerze do szafy).*

Teofila *(cicho jęcząc).* Jezus, Marya!... biedne dziecko! *(Całuje naprzód Aurelię, potem Karolkę, żegna je znakiem krzyża świętego i prowadzi do drugich drzwi na prawo. One całują ją w ręce i wychodzą. Teofila, sama, kręci się dalej, mrucząc ciągle jękliwie).* Jezus, Marya!... biedne... biedne dziecko... Och! Boże!... och! Boże! *(Włazi na krzeselko i zapala lampkę przed obrazem Matki Boskiej. Potem zamyka na klucz drzwi od ganku. Robi znak krzyża świętego nad drzwiami, wiodącemi do kancelaryi męża, bierze lampkę ze stołu i wychodzi. Chwilowa cisza, tylko za sceną odzywa się trzykrotnie, coraz ciszej i dalej głos stróża nocnego: „Werda!“.* Wchodzi Aurelia na wpół ubrana, boso. Klęka przed obrazem Matki Boskiej i zaczyna modlić się gorąco po cichu).

SCENA ÓSMA.

KULESZA, AURELIA.

Kulesza. *(Wchodzi z prawej ze świecą w rękę, której płomień, ręką zasłania. Ubrany jak poprzednio, tylko na nogach ma olbrzymie filcowe pantofle. Staje i przysłuchuje się). Co za dyabeł! ktoś płacze, czy co? A tak jest... płacze! (Płacz milknie). Słyszałem, na własne uszy słyszałem. (Głośno). Kto tu taki? (Milczenie. Kulesza idzie ze świecą naprzód, po drodze usuwa krzesła i nareszcie spostrzega Aurelię). Awrelka! a ty tu co robisz? (Aurelia z rozpuszczonymi włosami podnosi twarz zapłakaną, potem jakby olśniona zakrywa ją rękami, przysiadła na podłodze i wybucha płaczem). Awrelka! co to jest? co tobie? czego beczysz?*

Aurelia *(zrywa się nagle na równe nogi, ruchem pieśczonego dziecka rzuca się ojcowi na szyję, obu ramionami obejmuje go za szyję, drży i płacze. Po chwili mówi). Mój tateczku! niech się tatko na mnie nie gniewa, ale niech tatko co takiego zrobi, aby jego pocieszyć, aby jemu cokolwiek poradzić, aby jego wyratować... Mój tateczku kochany! niech tatko tylko pomyśli, a pewno cokolwiek wymyśli, bo starszy jest i więcej ma doświadczenia. Jeżeli tatko jego nie wyratuje, to kto go wyratuje?... Rodzice pewno by chcieli, ale nie zdołają, a więcej nikogo on nie ma i zginie pewno, zmarnuje się przepadnie... (Płacz przerywa jej mowę).*

Kulesza *(w jednej ręce trzyma świecę, drugą córkę przygarnia do piersi, chwilę milczy zdziwiony, potem mówi). Ehe! ot, gdzie raki zimują! (Podprowadza ją naprzód*

sceny i stawia świecę na stole). Co... co się tobie stało, Awrelka? co ty wygadujesz?... Od czego ja go mam ratować? dla czego on ma ginąć i przepadać? Babskie bzdurstwa! Zwaryowałaś?

Aurelia. Tatko nie zauważał: on już nie taki, jak był!

Kulesza. No, ochłódł dla nas trochę, ale jak się wysmęci, to się i rozgrzeje...

Aurelia. Gdzie zaś!... Kucharka widziała przez okno, jak w swojej stancyjce trzy kieliszki wódki, jeden po drugim od razu wypił; a przecie, gdy tu wrócił powiedzieć, że do wieczery z nami nie siedzie, nie było na nim śladu, że pijany. Boże mój, Boże! jaki on musi być nieszczęśliwy, kiedy w wódce pocieszenia dla siebie szuka.

Kulesza. Żle!... ale cóż ja na to poradzić mogę? Jeżeli jest taki głupi, że dla dziewczyny, która go opuściła tak waryuje, toż ja mu ani rozumu do głowy nakłaść, ani tej dziewczyny powrócić nie zdolam. Zresztą widzę, że złodowaciał i nie okazuje wcale, aby naszej przyjaźni i pomocy potrzebował.

Aurelia (*ramiona z szyi ojca zdejmując, włosami łzy ociera i mówi z wielką rozwągą*). On nie dla tej dziewczyny tak waryuje; on takiej, co go tak łatwo na innego przehandlowała, długo ani pamiętać, ani żałować nie może.

Kulesza (*patrząc jej w oczy; z uśmiechem*). Tak się asindźce zdaje?... No! ależ w takim razie, cóż mu się stało u dyabła?

Aurelia (*z jeszcze głębszym rozmysłem*). On nie z zawiedzionego kochania zmysły traci, ale z obrazy—

i z tego, że przez jednych ludzi skrzywdzony, wszystkim już przestał ufać.

Kulesza (*na str.*). Oho! w młodej dziecinie... rozum słynie!

Aurelia (*j. w.*). Ponieważ oni jemu wzgardę okazali, więc się boi od innych jej doświadczyć, dla tego też oddala się od nas.

Kulesza. To głupi!

Aurelia (*j. w.*). Nie tatku, on nie głupi jest, tylko bardzo ambitny.

Kulesza (*uderza się ręką w czoło*). A prawda! a pewno!... To, to, to! ambicya obrażona! Dla tego to tak przedemną rodziców swoich wysławiał! Tak jest. Prawda. Ja i nie zgadłem, a ty zgadłaś! (*Patrzy na nią z rozkoszą*). No, ale teraz, to już idź spać i mnie do łóżka puść, bo ledwie na nogach stoję...

Aurelia (*całując go po rękach*). Tatku złoty, drogi, kochany! zrób cokolwiek, poradź, ratuj...

Kulesza (*głaszcząc ją po głowie*). Hm! hm!... No, zastanowię się, pomyślę, może co i poradzę, ale przestań beczeć, bo jak nie... to... to... dam różgą.

Aurelia (*podnosi głowę, patrzy ojcu w oczy filuternie i roześmiała się głośno, szczerze, serdecznie*). Tatko żartuje!

Kulesza. No, kiedy się śmiejesz, to znowu cię lubię. (*Całuje ją długo, gorąco*). Ruszaj spać. (*Wypycha ją za drzwi pieszczotliwie*). Sprytna dziewczyna!... oho! rozumna dziewczyna! (*Staje w pośrodku pokoju i znowu bierze świecę do ręki*). A Teofila miała rację! (*Szepcząc*). Oj! matczyne oczy! matczyne serce!

(*Zasłona spada*).

OBRAZ DRUGI.

Las. W oddaleniu widać sągi. Na pierwszym planie na prawo pień i kłoda.

SCENA PIERWSZA.

GRZEGORZ, DWÓCH LEŚNIKÓW (ustawiają sążen drzewa i siekierami podbijają pale go utrzymujące.) Później KULESZA.

Leśnik pierwszy (*śpiewa*).

Zdała od mej wioski, zawsze sam,
W lesie życie schodzi mi;
Nie znam szczęścia, ale troski znam...
Więc smutek w duszy tkwi.

Niemnem-rzeką chciałbym płynąć w dal,
Wiecznie płynąć bym ja rad —
I tak wśród wzburzonych, modrych fal
Dopłynąć w lepszy świat!

Leśnik drugi. Ho! ho!... w lepszy świat! A gdzie on dla chłopca? Chyba tu! (*wskazując na ziemię*).

Leśnik pierwszy (*podnosi rękę w górę*). Nie, — tam!

Kulesza (*wchodzi*). Dzieńdobry, Grzegorzu; dzieńdobry poczciwi ludzie... Nie widzieliście gdzie pana nadleśnego?

Grzegorz (*wskazuje na prawo*). Jest ot tam, proszę wielmożnego pana. Cechuje drzewa do wyrębu. Ooo! słyhać jak w pień uderzył! Jutro dąb naznaczony padnie pod siekierą tych oto robotników, co (*wskazuje na lewo*) tam rąbią.

Kulesza. Słyszę, słyszę ich robotę... aż echo od niej się rozlega. (*Po chwili*). Powiedz mi Grzegorzu, jak się pan Jerzy miewa? bo już dawno oczy moje go nie oglądały. Z brzaskiem dnia pędzi do lasu, le-dwie po północy wraca... a i jada nawet za do-mem, tak, że nie ma sposobu spotkać się z nim i pogadać.

Grzegorz. Od czasu, jak wróciłem z Wasilkowiec, na obiad zachodzi do mojej chaty. Je to samo, co i my, biedni ludzie: groch i kartofle.

Kulesza. Groch i kartofle! (*na str.*). Oj! żal mi go... żal.

Grzegorz. Mało mówi... a jak zagada, to o rodzi-cach, za którymi jest tęskniący... to o ojcu, to o matce... A bo proszę pana, matki pana nadleśnego tylko co nie widać. Jak byłem u nich, obiecała, że dziś przyjedzie.

Kulesza. O tem przybyciu wspominała mnie już Teo-fila i Awrelka. Pewno Grzegorz im powiedział?

Grzegorz. Tak, proszę wielmożnego pana, ja. (*Pa-trzy na prawo*). A ot! i pan nadleśny nadchodzi.

Kulesza (*na str. patrząc we wskazanym kierunku*). Teo-fila miała rację: zmizerniał... oho! zmizerniał! Zgry-zota, a do tego co dzień na obiad groch i kartofle, na płótno wyblichować mogą najtęższego człowieka!

SCENA DRUGA.

CIŻ SAMI i JERZY.

Jerzy (*blady, widocznie zmęczony, wchodząc mówi do sie-bie*). Na dziś, dość roboty! (*Idzie do leśników i oddaje*

siekierkę od cechowania Grzegorzowi). Mój Grzegorzu, dajcie mi znać skoro zobaczycie furkę z Wasilkowic... A toporek odniesiesz do mego mieszkania wieczorem. (Daje po cichu polecenia leśnikom. Oni się oddalają. Jerzy zwraca się na prawo. Kulesza mu drogę zastępuje.

Kulesza. Dzieńdobry dawno niewidzianemu. Czy pan Jerzy do domu już wraca?

Jerzy *(zmieszany)*. Nie... to jest tak... Spodziewam się, że ktokolwiek z moich dziś do mnie przyjedzie, chciałbym więc na tę porę być już u siebie. *(Chce odejść)*.

Kulesza *(go zatrzymuje)*. Zaczekaj! Przecież z Wasilkowic *(wskazuje na lewo)* tędy droga do Laskowa prowadzi. Jak jechać będzie, posłyszemy, a nawet uwidzimy... ja zaś właśnie przyszedłem, żeby z panem na osobności pomówić. W lesie osobność lepsza, niż w domu, gdzie ktokolwiek zawsze przeszkodzić może.

Jerzy *(ze spuszczonemi w ziemię oczami)*. A o czym pan ma ze mną do pomówienia? Może o drzewie do reperacyi budynków?

Kulesza. Mówienie o drzewie osobności nie potrzebuje. Chcę pomówić z panem wcale o czym innem. A oto o czym: czy pan mnie i moją familię za dzikie zwierzęta poczytujesz, albo też sam siebie masz za takie zwierzę, co sobie osobną norę w lesie wykopuje?

Jerzy. Ależ...

Kulesza. Nie przerywaj! Jakiż z ciebie człowiek, kiedy dobrymi sercami ludzkiemi, jak śmieciem gar-

dzisz? Jaki z ciebie mężczyzna, kiedy dla babskiego bzdurstwa poczciwość pod nogi chcesz sobie brać?

Jerzy. Bo proszę...

Kulesza. Nie przerywaj! (*Spluwa na bok*). Pfuj! i to wszystko przez jedną dziewczynę, która może i podeszwy twego buta nie warta! Wstydziliś się: i oczów ludzkich i samego siebie! (*Spluwa na bok*). Pfuj! spodziewałem się, że wcale innym jesteś! Jak Bóg na niebie, spodziewałem się po tobie wcale czego innego! (*Sapie*).

Jerzy (*który patrzył na niego z zadziwieniem*). Ja panu bardzo wdzięczny jestem za życzliwość i naukę, ale pan o mnie wcale nieprawdziwe ma wyobrażenie, skoro myśli, że ja dla babskiego bzdurstwa i dziewczyny...

Kulesza. Wiem! wiem!... ale to też głupstwo, może jeszcze większe, aniżeli tamto. Dla tego, że na świecie kupę bałwanów znalazłeś, to już zwątpiłeś o tem, czy na nim ludzie być mogą!

Jerzy. Przepraszam pana, ludzie na świecie są pewno, i dobrzy — ja o tem wątpienia nie mam — tylko nie dla mnie!

Kulesza. A toż czemu?

Jerzy (*z błyskawicą gniewu w oczach*). Temu, że na taką poniewierkę, jaką raz zniosłem, drugi raz nie narażę się pewno — i wszystkim, oprócz swojej rodziny i innych ludzi sobie równych, na zawsze obcym pozostanę!

Kulesza. I to wiem, wiem... a jakże! Dla tej przyczyny odstrychnąłeś się od naszego domu, dla tejże i rodziców swoich przedemną wystawiałeś. Czy

chcesz, abym powiedział, coś sobie wtenczas myślał? A ot coś myślał. Myślałeś sobie: „Masz wiedzieć, kpie szlachcicu, że choć mnie ludzie za pochodzenie moje sponiewierali, ja go nie wstydzę się; owszem, wysławiam,—a was bałwanów znać nawet nie chcę!” Może nieprawda? powiedz: że nieprawda. Zełżyj!

Jerzy (*uśmiecha się*). Łgać nie będę. Zupełnie tak, jak pan mówi, nie myślałem... ale, że względem pochodzenia mego nigdy Judaszem nie zostanę i że go nie mam wcale za gorsze od innych, to prawda jest. (*Zapala się*). A czemuż ono gorsze? Nie od złodziejów ani inszych zbrodniarzy pochodzę, ale od takich, którzy w pocie czoła dostarczali chleb sobie i drugim. (*Z dumą*). Ojciec mój prosty człowiek, często nawet w łapciach chodzi, bo go nie zawsze stać na buty, ale przez to samo, co w życiu swym przepracował i przecierpiał, wart każdego innego pocziwego człowieka, choćby na największych wysokościach urodzonego.

Kulesza. Masz rację, masz rację! Kto z nas gorszy, a kto lepszy, i czyi ojcowie byli gorsi, a czyi lepsi, Bóg niech sądzi, Bóg — zarówno wszystkich ojciec.

Jerzy (*rozgrzany*). Pan sam wie najlepiej, jak ja do tej dziewczyny przywiązany byłem. Serce mi się rozdarło, gdy się przekonałem, że nie tyle warta, co ją ceniłem. (*Z bólem*). Ileż to razy — od owego okropnego wieczora poczynawszy — ukazywała mi się we śnie i na jawie, aby znowu rozwiązać się jak mara i mnie w żałości pozostawić... to już ja jeden wiem, i pewno o tem nikomu opowiadać nie będę...

bo i nie potrzeba i trudno! Ale właśnie dla tego, że ona mego serca niegodną się okazała, i że sam przed sobą wstydzę się mego zdradzonego kochania, wprędce może pozbyłbym się żalu, na żadną desperacyę pewno bym sobie nie pozwolił i nawet przebaczyłbym pewnie, gdyby nie to, czego od jej rodziny, a zwłaszcza od jej braciszka doznałem. To — to już na wieki jadowitym wężem w piersi mojej ugrzęzło. Bo kiedy oni uczciwego człowieka, który głowę i serce swoje im dla wspólnego dobra oddawał, za nie mieli i — jak brudny lachman nogą potracili, to pewno i inisi tak samo myślą i postąpić są zawsze gotowi. *(Ze zniecheceniem)*. A kiedy tak, to na cóż mnie starać się pracować, na co mi garnąć się do ludzi obcych? na co o dobrem umieszczeniu na tym świecie myśleć? Żeby i gwiazdę z nieba na ziemię przeniósł, tobym jeszcze mózgów im nie rozświecił i nie wymknął się od ich pogardy!

Kulesza. Słuchaj-no Jerzy. Nie zupełnie to tak jest, jak ty myślisz. Nie jedna była przyczyna tego, że oni cię odtrącili, ale dwie. Druga — pewno dla nich ważniejsza, niżeli pierwsza. Ja również z okolicy szlacheckiej rodem jestem... z Kuleszów pod Lidą; znam też dobrze zabobony i chciwość, które w tych zapłótkach panują. Chciwych zaś, widzisz, w każdym stanie się spotyka. Sam pozbyłem się i jednych i drugiej, chwala Bogu, bo za młodu w świat wywędrowawszy z niejednego pieca chleb jadałem, a i krwi z żył upuściłem nieco dla tej samej świętej sprawy braterstwa i miłości, do której teraz ciebie serce ciągnie. Nieraz znajdowałem się na wo-

zie i pod wozem, a różnych wielkości i małości ludzkich napatrzyłem się tyle, że jednemu tylko Boga za wielkiego uznał. Ludzie zaś wszyscy pod nim żyją, a wielcy czy mali, zarówno ułomni są i na tym świecie cierpieć muszą. (*Jerzy przysłuchuje się z uwagą*). Otóż widzisz, oni ciebie nie tylko z przyczyny zabobonu, tyczącego się pochodzenia twego, odtrącili, ale także i jeszcze więcej dla tego, że ty swojej ziemi nie masz.

Jerzy. Głowę i ręce mam! Serce im oddawałem...

Kulesza. Ja to przyznaję, ale oni największy honor, oraz spokojne ubezpieczenie w ziemi tylko upatrują. I nie można powiedzieć, aby na dnie tego naczynia prawdy nie było, boć ziemia ta, to przedewszystkiem nas wszystkich matka. (*Z lekkim rozrzewnieniem*). A przytem jest ona dla człowieka wyleczeniem z troski o ciało i wszelkiej desperacji duszy. (*Znowu zwykłym tonem*). To jest prawda, ale z doświadczenia o tem wiem także, iż i bez posiadania ziemi można sobie uczciwie i pomyślnie wiek przez Pana Boga przeznaczony na tym świecie przeżyć. Kiedy z Teofilą żeniłem się, goły byłem jak bizun, a ona tyle posagu miała, że i kot na ogonie mógłby unieść. . Ot! jak ty teraz, głowę i ręce miałem, więcej nic... A jeszcze: wielką ochotę do pracy i ambicyę, aby na psa nie zejść. Akurat, jak ty teraz. Prawda, że różnie z nami bywało, czasem ciężko i niewesoło, lecz koniec we wszelkiej robocie najważniejszy, a u jakiego ja końca stanąłem sam widzisz. Ziemi swojej wprawdzie nie posiadałem, ale choć i na cudzej, więcej niż sto sztuk bydła

mam, tysiąc owieczek, dwanaście sprzęgów koni, oraz różne ruchomości gospodarstwu i dostatкови potrzebne. Dzięki Bogu! może też i grosik jaki, choć nieduży, na nagłą potrzebę najdę. *(Śmiejąc się dobrodusznie, kładzie rękę na ramieniu Jerzego)*. Tak i z tobą będzie, kochanku! tak i z tobą będzie! Zgryzotę pod nogi rzuć, do roboty rękawy zawiń, lamentować napróżno przestań. Lamenty babom właściwe, a przecież i one obok lamentowania co innego robić muszą. A patrz: moja wiecznie jęczy — a jak przytem pracuje! hej!

Jerzy. Już to pewno, że pan ma rację... i jeżeli ktokolwiek na świecie smutnemu człowiekowi odwagi dodać, a wątpienia ująć może, to nikt lepiej od niego uczynić tego nie zdoła.

Kulesza. To i czego puszyłeś się przedemną jak indyk, a od nas wszystkich jak leśny odynieć stroniłeś?

Jerzy *(opuszcza głowę zamyślony, potem nagle ją podnosi)*. Ach! gdybym ja mógł jakim sposobem pomścić się na nich za tę obrazę, którą oni mnie wyrządzili, zdaje się, że wtedy ów wąż jadowity, co wpelził mi do serca, wypadłby ze mnie. Już parę razy bliski byłem tego, aby do Tołłoczek pojechać i Osypowiczowi w łeb z fuzyi wypalić, ale powstrzymywało mnie, po pierwsze: zbrodniarzem być nie chcę; a po drugie: ona mogłaby sobie pomyśleć, że ja o nią, choć mnie na innego przehandlowała, tak dbam, iż sumienie i wolność swoją niżej od niej stawię... Ach żebym mógł jaki sposób wymyśleć, żebym mógł pokazać im, że od nich nie gorszy, a

jeszcze lepszy... że o nich i o nią tyle dbam, ile o ten śnieg, który w przeszłym roku padał... a!...

Kulesza. A no, to klin klinem wybij! Zakochaj się w drugiej i... (*Urywa*).

Jerzy. Kiedyż bo ja wcale już nie wiem, czy prawdziwe kochanie jest na świecie, albo, że też każde oszukaństwem tylko być musi.

Kulesza (*wybuchając*). Toś głupi! (*Z zamaszystemi gestami*). A tak jest, jeżeli dla kupy bałwanów wszystkimi ludźmi, a dla jednej niestałej frygi, wszystkimi kobietami i ich kochaniem poniewierasz, toś głupi! Otóż na złość ci powiem... tak jest na złość... i abyś wstydził się... że może jest na świecie taki szlachcic, któryby za ciebie chętnie córkę wydał... i taka panna, od tamtej może nawet troszkę lepsza, któraby dla ciebie może stałe kochanie miała... żebyś... żebyś... żebyś... nie był głupi!

Grzegorz (*wbiega*). Panie nadleśny, już jedzie... jedzie... Konia poznałem! (*Wybiega*).

Jerzy (*z głośnym krzykiem*). Mama! (*Wybiega na lewo*).

Kulesza (*sam*). Za daleko się posunąłem... powiedziałem za dużo... ale kiedy to ten przeklęty język szlachecki, jak się rozmacha, to go i zębami przytrzymać nie można! Żle... źle... zbajałem się. Przecież mu córki narzucać nie myślę. (*Patrzy na lewo*). Furka nadjeżdża; zatrzymuje się... On aż płonie od wesela i radości!... O! porywa staruchę na ręce i niesie tu... dobry syn, dobry syn!

SCENA TRZECIA.

CIEŻ SAMI i ZOFIA CHUTKOWA.

Jerzy (*wbiega, niosąc na rękach matkę, staruszkę drobną i suchą*). To moja matka!... moja matka najdroższa. (*Sadza ją na kłódzie, klęka przed nią i ręce jej i nogi całuje*).

Chutkowa (*wzruszona*) Synku mój!... sokole mój!... dziecko moje! (*Całuje go w głowę i błogosławi*). Mówili synku, że ty smutny, zdesperowany... to ja przyjechała pocieszać, do matczynej piersi przytulić... razem z tobą płakać i łzy twoje ocierać.

Jerzy. Ach! jak ja ci wdzięczny... jak ja ci wdzięczny. Tyle drogi dla mnie odbyłaś... Czy nie zmęczona jesteś? (*Zrywa się na równe nogi*). Niech-że ja cię zobaczę, niech się widokiem twoim nacieszę!

Kulesza. Hm! hm!... A zaprezentuj-że mnie, proszę.

Jerzy (*odwraca się i bierze go za rękę*). Przepraszam. W pierwszej chwili radości o całym świecie zapomniałem. (*Do matki*). Pan Floryan Kulesza, posesor Laskowa... dobry dla mnie jak drugi ojciec.

Chutkowa. Dziękuję wielmożnemu panu za jego serce dla mego jedynaka. Ja prosta kobieta, jedwabnych słówek składać nie umiem... ale z duszy dziękuję, za mego Jurka, za mego sokoła!

Kulesza. Moja pani Mikołajowa, jak Bóg na niebie, nie ma zaco dziękować; zasłużył on sobie na życzliwość i przyjaźń ludzką... a choć teraz, od zgryzoty, pomieszało mu się troszeczkę w głowie, to... Ale o tem potem pogadamy. (*Zwraca się do Jerzego*). Panie Jerzy, każ furmanowi jechać wprost na łożwark,

a my chyba piechotą, wszyscy razem, do domu wrócimy, boć to przecie niedaleko.

Jerzy. Czy mama pójdzie?

Chutkowa. Wolę. Ja tam do jeżdżenia nieprzyzwyczajona, a droga do ciebie synku długa... Kobięcie starej, samej, przykrzy się na wózku... Wypocznę sobie idąc pieszo. *(Jerzy wychodzi na lewo; widać jak Grzegorzowi wydaje polecenia. W tejże samej chwili Aurelia ukazuje się w głębi).*

SCENA CZWARTA.

Kulesza *(sposzregłszy Aurelię, zbliża się do niej).* A ty tu po co, Awrelka!

Aurelia. Przyszłam tatka prosić na podwieczorek.

Kulesza. Bajki babom! Już ja wiem, co cię tu sprowadza.

Aurelia *(całując go w rękę).* Mój tateczku, niech się tatko na mnie nie gniewa...

Kulesza *(głaszcze ją po głowie).* No, no! *(Odwraca ją ku Chutkowej).* Patrz!...

Aurelia. Czy ta starszka, to może matka pana Jerzego, co miała przyjechać?

Kulesza. A jakże! *(Jerzy wraca).*

Aurelia. Oooo! *(Biegnie do Chutkowej, dyga naprzód przed nią, potem w rękę ją całuje).* Mama moja mnie kazała... *(Spogląda na ojca, jakby się z nim wzrokiem porozumiewała)* ...i tatko także... abym panią Mikołajową i pana Jerzego na podwieczorek poprosiła. Niech pani Mikołajowa i pan Jerzy będą łaskawi

nas odwiedzić i podwieczorek z nami zjeść. Tatko (znowu zamiana spojrzeń z ojcem)... i mama pięknie prosi... i ja... i siostra moja młodsza też.

Chutkowa (całuje ją w czoło). A cóż to za aniołek mój synku, jakby z kościoła, z ołtarza wyjęty?!

Jerzy (mocno wzruszony). To prawda jest... mama ma rację... panna Aurelia to anioł... anioł prawdziwy!

Chutkowa. Zaproszenie twoje śliczna panienko, wraz z synem moim, chętnie przyjmuję...

Kulesza. Kiedy tak, to chodźmy, bo czasu szkoda... tam baba moja czeka.

Chutkowa (powstając). Kiedy taka jego wola, to chodźmy wielmożny panie.

Kulesza. Niech mnie pani Mikołajowa wielmożnym nie tytułuje, bo ja — jak Bóg na niebie! — nie raz dużo bym chciał, ale nie wiele mogę. Ot! tędy. (Wskazuje drogę, potem odwraca się do Aurelii i Jerzego). A wy?

Jerzy. My za państwem idziemy.

Kulesza. Proszę, byśmy na was nie czekali. (Wychodzi z Chutkową).

SCENA PIĄTA.

JERZY, AURELIA potem LEŚNICY.

Jerzy. Czy panna Aurelia przebaczy mi kiedykolwiek, że będąc w żalu i gniewie na cały świat, przyjaźń pani odrzuciłem? I czy ta przyjaźń przywróconą mi zostanie?

Aurelia (żartobliwie i wesoło). Ja nie zawzięta i jeżeli pan Jerzy życzy sobie, abyśmy znowu w przy-

jażni z sobą byli, to i owszem. Tylko już teraz to proszę mnie wszystko mówić i powierzać, bo za każdą skrytość okropną pokutę zadam.

Jerzy. Jakaż to będzie pokuta?

Aurelia. Taka, że pan Jerzy będzie musiał przynajmniej przez cały dzień o pewnej rzeczy i o pewnej osobie nie myśleć.

Jerzy. Ja i teraz już o niej myśleć przestaję.

Aurelia. To źle, bo to jest zbyt wielka niestałość!
(*Chwila milczenia*).

Jerzy. Panno Aurelio.

Aurelia. A co?

Jerzy. Pani więcej o tej rzeczy wie odemnie. Czy ten posłaniec mówił pani, na który dzień naznaczony jest ślub tej osoby?

Aurelia. A jakże, mówił. Na niedzielę zielną.

Jerzy. To jeszcze do tej niedzieli trzy tygodnie.

Aurelia. A trzy! (*Chwila milczenia*).

Jerzy. Panno Aurelio?

Aurelia. A co?

Jerzy. Niech mi pani rączkę swoją poda. (*Aurelia podaje. On mówi i całuje na przemian*). Za ten pocałunek, który pani na ręce mego biednego matczyska złożyła... Za to, że tym pocałunkiem pani sprawiła, iż żmija jadowita zemsty i nienawiści z serca mego wypadła i mogę teraz znowu kochać wszystkich ludzi, jak dawniej... Za pani przychyłość i dobroć dla mnie... Za te śliczne oczy, które na mnie tak mile patrzą... Na wieczną przyjaźń... na dozgonną zgodę...

Aurelia (rozmarzona). Och! panie Jerzy... (*W głębi wchodzi leśnicy z gałęziami*).

Leśnik pierwszy (*śpiewa*).

Niemnem-rzeką chciałbym płynąć w dal,
 Wiecznie płynąć bym ja rad —
 I tak wśród wzburzonych, modrych fal
 Dopłynąć w lepszy świat!

Zasłona spada.

AKT CZWARTY.

Scena przedstawia tę samą izbę co w akcie drugim. Po podniesieniu zasłony słychać ze stodoły dolatujący odgłos młócenia cepami i kiedy niekiedy z za otwartego okna śmiechy, zmieszanych męskich i żeńskich głosów, pomiędzy którymi często dominuje głos Salusi. Pod piecem stoją dwie balijsze, przy których Oktawia i Barbara, w negliżach, piorą bieliznę.

SCENA PIERWSZA.

OKTAWIA, BARBARA.

Oktawia. Kostanty z moim owies młóć.

Barbara. I z moim też.

Oktawia. Twój i Kostuś, to zapalczywie i prędko wałą, — a już mój Pancewicz, to powoli, z flegmą i poważnie, jak na statecznego człeka przystało.

Barbara. Kostanty przypila, bo ambitny, wie, że weselników zjedzie się dziś wiele, chce więc mieć zapas, by każdemu gościowemu koniowi choćby mały, choćby z sieczką zmieszany garczyk owsa do żłobu wsypać.

Oktawia. Oho! taki to on, taki! W innej porze, żeby mu wydanie Salusi za mąż nie sprawiało wielkiej dumy i uciechy, na znaczny wydatek markotnie by patrzył. *(Słuchać śmiech Salusi).*

Barbara. Słyszysz, jak to Salka chichocze się, a młodziki jej wtórują... i Emilka lepiej nie zdoła.

Oktawia. Czasem się śmieje, a czasem to smutna, albo piekło jakieś patrzy jej z oczu. *(Śmiech mężczyzn).*

Barbara. A teraz to Adaś Strupiński zanosi się od wielkiego śmiechu.

Oktawia. Umizga się do niej, jak i Leon Wierciłło.

Barbara. Wszyscy chłopcy z całej okolicy teraz do niej lecą, jak pszczoły do miodu, a ona z zadowoleniem przyjmuje czułości i komplementy. *(Podnosi się nad balią i patrzy w okno).* Ot! i teraz: wesołość a zalotność tryskają jej z twarzy. Chodzi między nimi, niby jaka królowa, a inne dziewczęta i one dwie družki, co za nią biegają jak cieleta, szczerzą zęby napróżno, żaden na nie nawet nie spojrzy. *(Wchodzą Konstanty, Pancewicz i Zaniewski w koszulach).*

SCENA DRUGA.

BARBARA, OKTAWIA, KONSTANTY, PANCEWICZ,
ZANIEWSKI.

Konstanty *(wchodząc mówi do szwagrów).* Bo do wszystkiego trza mieć rozum. Ja czego nie wiem i wiedzieć nie mogę, bo to jeszcze w boskich rękach pozostaje, odgadnę albo przeczuję. Drugi dawno polakomilby się na ceny i pozbył się owsa, a ja odga-

dłem potrzebę w jakiej się znajdę! Tak, jakby mnie coś do ucha szeptało: niech to ziarno poleży jeszcze sobie. A cóż to szeptało? rozum i kwita! fiu! fiu!

Pancewicz (*piskliwie*). Racya, racya, panie dobrodzieju.

Zaniewski (*basem*). Bo rozum zawždy się przyda! (*Konstanty zbliża się do okna i patrzy z rozkoszą na Salusię i zabawiającą się z nią młodzież*).

Oktawia (*do mężów*). A idźcie się umyć i przyodziać po waszej fatydze w stodole, boście cali kurzem i żdźbłami osypani, jak nieboskie stworzenia, a gości weselnych tylko co nie widać.

Pancewicz. Słusznie, słusznie, panie dobrodzieju.

Barbara (*do męża*). Idź-że. Tam dla was w szpichlerzyku my wszystko nagotowały; czystą bieliznę i kurty odświeżone... i woda stoi w cebrażyku...

Zaniewski. A to chodźmy panie szwagrze.

Pancewicz. Idziemy, idziemy, panie dobrodzieju. Bywaj, Kostanty! bywajcie niewiasty! (*Zaniewski i Pancewicz wychodzą*).

SCENA TRZECIA.

KONSTANTY, OKTAWIA, BARBARA.

Konstanty (*wciąż patrząc w okno*). Pasterz owieczki przywiódł i pokazuje Saluni, a ona je głaszcze i całuje. Jaka ochocza, aż patrzeć miło!

Oktawia. A bo jej się wszyscy najładniejsi chłopcy zalecają; ona zaś rodzeniuteńka siostra Kostantego... taka jak Kostanty ambitna, to też jak paw się pu-

szy. Adaś Strupiński to jeszcze wczoraj przedemną desperował, że Cydzikowi dał się uprzedzić.

Barbara. A Wierciłło byle tylko wspomnieć, że Salusia zaręczona, wnet sępa pokazuje i z cicha wygraża, że tego smarkatego, który im pannę z pod nosa zabiera, kiedykolwiek na gorzkie jabłko stłucze.

Konstanty (*z zadowoleniem*). W ręce mnie powinna całować za to, żem ją na taki bryljant, dla wszystkich pożądaną wykierował! Dawniej, to na dwa lata znajdował się jeden konkurent i to lada jaki, a jak ją jedynak pana Onufrego zatargował, to wszyscy kupić-by radzi. (*Śmieje się*). Kiedy bieży, to bieży, a gdy padnie to leży! U mnie zawsze taka robota!

Oktawia (*z gryźliwie*). At! wiadomo: koń zatargowany i panna zaręczona największą cenę mają. Ażeby teraz z Cydzikiem rozeszło się, to i wszyscy-by od niej poodpadali.

Konstanty (*z dumą*). Ale się nie rozejdzie, bo małżeństwo to kosztować mnie będzie... strach!... ale się nie rozejdzie! Panowie Cydziki nie powiedzą, że do ich domu siostrę z gołemi rękami wepchnąłem. Że pięć „p“ wniesie było to wszystkim wiadomo, niechże i szóste ma nielada jakie. Niech panowie Cydziki panów Osipowiczów znają!

Barbara. To jest prawda, że Konstanty dla niej szczodry...

Oktawia. Oj! nie tak, jak dla nas! nie tak!

SCENA CZWARTA.

CIŻ SAMI. SALUSIA, ADAM STRUPIŃSKI, LEON WIER-
CIELŁO, KILKU SZLACHTY, DRUŻKI.

*(Drzwi się otwierają z trzaskiem. Wbiega Salusia, z nią ra-
zem Strupiński i Wiercillo. Za nimi drużki i kilku mło-
dych ludzi, zagrodowych szlachciców).*

Adam *(trzymając Salusię za rękę).* Jak Boga kocham
nie puszczę... Choćby nie wiem co, przytrzymam!

Salomea *(wesóło i zalotnie).* Jeżeli się dam... i panów
z izby nie wyproszę.

Leon *(trzymając ją za suknię).* Wyrzucić nas... dalipan,
to sromota!... My nie po to za panną Salomeą bie-
gamy, żeby nas z izby wyrzucała i na smętek a sa-
motność skazywać miała.

Adam. Cydzik, ten szkaradny kolek, skarb nasz po-
rwie jutro.

Salomea *(jakby zdziwiona, przesuwając rękę po czole).* Ju-
tro!... już jutro?

Leon. A tak, jutro już... i w dalekie strony wy-
wiezie.

Adam. To my, choć tymczasem, żądamy nacieszenia
się widokiem panny Salomei. *(Inni wciąż się śmieją i
przytakują mówiącym).*

Salomea *(tupiąc nogą niecierpliwie).* Cicho bądźcie!...
(Do Adama i Leona). A ręce precz! z daleka. *(Wska-
zuje na Konstantego).* Z bratem pomówić chcę *(Uśmie-
cha się znówu zalotnie).* Kołowrotek mi tu przynieś-
cie i len co Basia w darze mi przywiozła. Przecież
będę... jak nasze babki, prababki! *(Adam, Leon i inni*

biegną do bokówki z hałasem, przynoszą w ciągu tego co następuje kołowrotek,³ ustawiają, len przygotowują i chociaż z drużkami, płatając im różne figle. Oktawia i Barbara piorą. Salomea zbliża się do brata i mówi patrząc w okno z uśmiechem). Kostuś! daj ty mnie na nowe gospodarstwo, z tych co pasterz wyprowadził, choć dwie owieczki. Niech ja tam w cudzym domu, wszystkiego swego potroszę mam.

Konstanty. Sześć dam! Sama sobie wybierz.

Oktawia. Oj! szczodry on dla niej!

Barbara. Jak dla nas nigdy nie był!

Salomea (*całuje brata w twarz*). Dziękuję ci, Kostuś...
dziękuję!

Konstanty (*niby unikając jej karesów, patrzy na nią z miłością*). Kiedy bieży, to bieży, a gdy padnie, to leży. (*Całuje Salomeę w czoło, zaczyna gwizduć i chce wyjść, ona go powstrzymuje za rękę*).

Salomea. Kostuś!... ażeby to mój ślub do wiosny odłożyć?

Konstanty (*staje*). A toż co? a toż dla jakiej przyczyny?... dziś? w wigilię ślubu, kiedy lada moment na wesele wszyscy zjadą?... Oszalałaś!

Salomea (*jakby marząc*). Teraz już prawie jesień, potem przyjdzie adwent... a po Wielkiejnocy tak pięknie będzie, zielono...

Konstanty (*żartując*). U ciebie samej zielono w głowie, a i wróbli też tam skacze co niemiara! (*Chce odejść, Salomea go zatrzymuje*).

Salomea (*z wzniesionemi do góry oczami*). Kostuś! jeśli Boga kochasz, jeśli mnie co dobrego życzysz,

zlituj się, bądź łaskaw, odłóż do wiosny... ja tobie do śmierci za to będę wdzięczna.

Konstanty (*gniewnie, odtrącając tulącą się do niego*). Zwaryowała! jak Boga kocham, zwaryowała! Co ty bałamucisz? Babskie bzdurstwa! Wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę...

Salomea (*usuwa się na ziemię, obejmuje go za kolana i mówi prawie szeptem*). Kostuś! ty mnie jak ociec był... mnie tobie umierające rodzice przyporuczyli, wyświadczy ty mnie tę łaskę, odłóż do wiosny... Co tobie szkodzi? Ja czy tak, czy tak, podług życzenia twego uczynię... ale po Wielkiejnocy... mój drogi... mój złoty...

Konstanty (*wybuchu*). Bajki babom! Ot waryatka! (*Spostrzega się, że ich mogą słyszeć, mówi zatem dalej gniewnie, ale po cichu*). A jakże!... na wstyd jeszcze przed ludźmi mnie wystawia.

Salomea (*powstaje*). Przecie cicho... cichuteńko proszę.

Konstanty (*j. w.*). Ja starania i serce moje dla niej wykładam, koszta ponoszę, szczęście jej zapewniam, a ona tu waryactwa jakieś wyprawia!

Salomea (*składając ręce*). Nie... tylko...

Konstanty (*j. w.*). Żeby rozumna była, to do takiego szczęścia, jak to, które ja tobie przygotowałem, biegłabyś i leciała, nie to, ażeby o odwołanie jego prosić. Ot! szkoda psu białego chleba! Lepiej-by pewno było czarny z chamem na wspólną gryść!

Salomea (*gniewnie*). Ty mnie o nim nie wspominaj! Wam już teraz od niego wara!

Konstanty (*j. w.*). Głupia! ale i ty o tem odwołaniu nie waż się ani raz choćby pisać, bo o umie-

rających rodzicach zapomnę i wytłukę, jak Boga kocham, wytłukę... bo kiedy bieży, to bieży, a gdy padnie, to leży! To sobie pamiętaj! *(Odpycha ją od siebie i wychodzi gwiżdżąc i z trzaskiem drzwi za sobą zamykając. Salomea patrzy za nim z nienawiścią).*

Adam. Kołowrotek już ustawiony. Chodzi tylko, aby panna Salomea swoją śliczną nóżką i swoją białą rąsą...

Salomea *(niecierpliwie).* Zaraz!

Leon. I len... len, co pani Zaniewska przywiozła, czeka na pannę Salomeę.

Salomea *(j. w.).* Zaraz! *(Idzie do sióstr).* Wiesz Oktyna? ja jutro ślubu z Cydzikiem nie wezmę!

Oktawia. A to dla jakiej przyczyny?

Salomea. Dla tej, że nie chcę.

Oktawia *(śmieje się zgryźliwie).* At! myślałam, że już rozumu nabrałaś, a ty jak byłaś głupia, tak i jesteś. Nie chcę, nie chcę! Święty Boże! czego tu nie chcieć? Może młodego chłopca z pięknej rodziny i jak kot marcowy w tobie zakochanego?

Barbara. Może dziedzictwa takiego, na jakim le-dwie która szlachcianka siedziała?

Oktawia. Może tego zdwojonego posagu, którym ciebie braciszek, z krzywdą innych siestr, równie rozdanych, obdarza?

Salomea. Ja jego o to nie prosiłam i Oktyna niech mi tego nie wymawia, bo wezmę, wszystkie wasze dary, któremiście mnie zbyt szczerze obsypali, w oczy wam cisnę... i bywajcie!... na Berdyczów do mnie drobnymi literkami pisujcie!

Oktawia. Salusia! co się tobie dziś stało? Blekotu najadła się, czy co? Ja tu dla niej pracuję, haruję, dom i dzieci opuściwszy, a ona przychodzi głupstwa mi gadać!

Barbara. A czyż ja także dla ciebie domu nie opuściłam? Czy nie twoją bieliznę piorę, żebyś mężowi brudnej na nowe gospodarstwo nie zawiozła!

Oktawia. Ot! lepiej elegancką sukienkę zdejść, rękawy od koszuli zawiń i do prania się weź!

Salomea. Prać wam pomogę... a jednakże jutro z Cydzikiem ślubu nie wezmę. *(Do mężczyzn).* No! panowie! wynoście się ztąd, bo ja muszę przy balii stanąć... Tak starsze siostry każą!

Adam. Nie, nie... wprzód panna Salomea musi trochę praść, bo na co my się tak nafałtygowali, kołowrotek przynieśli, ustawili... Jak Boga kocham, byłaby nam krzywda! *(Przybiegają z Leonem, po rękach ją całują i przemocą do kołowrotka prowadzą. Ona niby się gniewa, broni, ale zalotnie na nich spogląda).*

Leon. Dalipan, wielka krzywda!

Salomea. No!... tylko z rękami z daleka! *(Patrząc na Strupińskiego).* Oj! z pana Adama, to wierutny bałamut!... wielu już pannom w naszej i w dalszych okolicach głowy napróżno pozawracał.

Adam *(pokręcając węża z fanaberyą).* Cóż?! kiedy mi się pannie Salomei zawrócić nie udało!

Leon. Ale za to nam — Adasiowi i mnie mizerocie, a i wszystkim tu zgromadzonym kawalerom — panna Salomea głowy pozawracała.

Salomea *(j. w.).* Bodaj tak pies płakał, jak to pra-

wda! Żeby nie pan Cydzik, toby żaden na mnie ani spojrział!

Adam. O! co już to, to kłamstwo jest! Ja dla panny Salomei oddawna całem sercem... Ja bym dla niej w ogień wskoczył!

Leon. I ja, dalipan, całą duszą... O! dla niej, do wody, rzuciłbym się chętnie!

Salomea (*prawie poważnie*). Ktoby wam uwierzył! Której dziewczynie nie mówiliście tego samego? (*Siada przy kołowrotku*). A len gdzie?

Adam. Garść już przytwardzona.

Salomea (*bierze pasmo lnu i do ust przyciska*). Mój len! mój... ukochany!

Adam. Oj! cobym ja dał, żeby panna Salomea mnie tak pocałowała!

Salomea (*pógardliwie*). Jeszcze czego! Obejdzie się cygańskie wesele bez marcypanów!... A woda jest?

Leon. Jest, tu oto w miseczce. (*Salomea macza palce w wodzie, poczem wysnuwa niemi nitkę i nogami porusza kołowrotek, który wartko obracać się zaczyna*).

Adam. O! tak, tak... dygu, dygu, dygu, aż miło słuchać, aż miło patrzeć.... No, a teraz niech nam panna Salomea co zaśpiewa.

Salomea. Może zaśpiewam... a może i nie!

Wszyscy (*prócz Oktawii i Barbary*). Prosimy, prosimy, bardzo prosimy! (*Adam i Leon całują ją po rękach*).

Salomea. No! odczepcie się już... Zaśpiewam! (*Śpiewa*).

Nad strumykiem stała,
Tra la, la, la, la.

Rączki załamała,
Tra la, la, la, la.
Cóż ja pocznę biedna?
Tra la, la, la, la.
Że ja jestem jedna?
Tra la, la, la, la.

Wszyscy (*chórem — prócz Oktawii i Barbary*).

Nad strumykiem stała,
Tra la, la, la, la. itd.

Oktawia (*składając z Barbarą upraną bieliznę*). No! dosyć już tego śpiewania! Chodź Salka, wyniesiesz z nami bieliznę na strych, bo jak przez noc wyschnie, jutro, skoro świt, wyprasować jeszcze będzie potrzeba!

Salomea. Nie pójde... idźcie same.

Barbara. Ooo! tak! dobrze się tobie bawić, jak jakiej zaczarowanej królewnie, a my za ciebie harujemy!

Salomea (*opryskliwie*). To nie harujcie!... Dajcie mi święty spokój i idźcie sobie do licha ciężkiego.

Oktawia (*zgryźliwie*). Czegoż to osą w oczy się rzucaasz? Nie wczas ci jeszcze z przyczyny Cydzikowego bogactwa nos do góry zadzierać!

Salomea (*Zrywa się na równe nogi i mówi z gniewem*). Niech Cydzika razem z jego bogactwem dyabli wezmą!

Barbara. Blekotu się objadła! dali Bóg, że się objadła blekotu! (*Do Oktawii*). Et! co z nią dziś gadać. Chodźmy!

Oktawia (zgryźliwie). A chodźmy... niech króluje! pani wielmożna, jasnie... jasnie oświecona... (*Idzie do drzwi bokówki*). Kasia! balję sprzątnij! (*Zabiera z Barbarą bieliznę i razem z nią oddala się. Po chwili wchodzi dziewczka i balję wynosi*).

Adam. Oj! byłoby to dobrze, żeby pana Cydzika dyabli wzięli, tylko, że tak się nie stanie na moje nieszczęście... a co gorzej, że to on nam pannę Salomeę zabierze.

Salomea (zamyślona). Oho! kiedy to jeszcze będzie! (*Słychać za sceną Gabryela grającego na skrzypcach: „Idzie żołnierz borem lasem“*). Gabryś!... Gabryś gra!... ach! jak ślicznie! jak miło! że aż duszę przenika... (*Do wszystkich, popychając ich ku drzwiom*). Idźcie, panowie, idźcie!... już czas. Mnie nie o śmieszkach i zabawie teraz myśleć... Idźcie, idźcie już, proszę... A powiedźcie Gabrysiowi, że go chcę widzieć i z nim pomówić. (*Do Adama, który jeden jeszcze przy drzwiach pozostał i chce ją w rękę pocałować, mówi niecierpliwie, tupiąc nogą*). Dość tego, odczep się pan i wynoś czempredzej! (*Adam wychodzi*).

SCENA PIĄTA.

SALOMEA potem GABRYEL,

Salomea (sama. Wraca na środek izby, przeciera oczy, potem nagle jakby ze snu zbudzona, załamuje ręce i woła). Jezus Marya! jutro! już jutro! (*Po chwili*). Ja nie chcę... nie chcę... (*Idzie do kanapy, siada, opiera głowę na rękę i marzy*). Oj, doloż moja, dolo! (*Po chwili wyciąga ręce, jakby kogoś przed sobą widziała*). Jerzy!

Jerzy mój!... Nie mój on już, nie mój, nie mój!... Odebrali mnie go, przepaść bez dna między nami wykopali. A on taki piękny, taki rozumny, taki śmiały, taki miły i dobry! och! *(Po chwili)*. Trzeba myśli o nim precz od siebie odegnąć! *(Robi znak krzyża świętego na czole, piersi — i zaczyna się modlić)*. „Zdrowaś Marya! łaskiś pełna, pan z Tobą...” *(Urywa i patrzy znowu przed siebie, jakby kogoś widziała)*. Żebyś ty wiedział, Jerzy, jaka ja biedna! Ani mnie u kogo poradzić się, ani kogo o ratunek poprosić... Jeden Gabrys taki, że mogę przed nim o swoim smutku gadać, ale cóż on pomoże, kiedy — głupi! *(Po chwili)*. A jakby na złość Anulka nie przyjeżdża! Oj! kiedy ona przyjedzie! kiedy ona przyjedzie!... żeby choć godzinę wcześniej zanim tamci nadjadą! *(Po chwili — powstaje)*. Żeby tak można polecieć! żeby do niego, jak gołąb, polecieć! Ach! jakbym leciała! leciała! *(Wznosi oczy w górę)*. Boże! Boże! przemień Ty mnie w wolnego ptaka, abym więzów ani złych ludzi nie знаła, i mogła lecieć do niego, lecieć!

Gabryel. *(Wchodzi z dwoma doniczkami mirtu i jedną heliotropu. Stawia je na komodzie, w głębi)*. Czy Salusia jaki interes ma do mnie?

Salomea. Ej, nie!... tylko chciałam Gabrysia uwidzieć, bo mi nieraz wśród ludzi — choć się śmieję i niby bawię — bardzo smutno; a kiedy jestem sama, to jeszcze smutniej. — Co to Gabrys w rękach trzymał, jak tu wchodził?

Gabryel. Dwa mirty i heliotropu wazonik.

Salomea. Czy Gabrys da mi swój mirt na wianeczek i bukieciki?

Gabryel. A właśnie dla tego przyniosłem. Niech Salusia zobaczy. (*Zbliżają się razem do komody*). Salusi podoba się mój heliotrop?... Jeśli się podoba, to niech go Salusia weźmie... Nie?... E! kiedy bo Salusia tak rozgląda się jakoś, jakby nic nie widziała. Niech-że Salusia mirtom się przypatrzy.

Salomea. Prawda... Gabrys ma teraz dwa mirty. Dawniej przecież miał tylko jeden?

Gabryel. A tak; ten starszy zasadziłem dziewięć lat temu, kiedy Salusia niedoroślą jeszcze była, myśląc sobie, że jak raz na tę porę wybuja, w której Salusia za męża wychodzić będzie. Ale potem, cośię trzy lata temu, zasadziłem drugi, aby Salusia dostаточно go miała na ślubny wianeczek i bukieciki dla asysty.

Salomea. To Gabrys umyślnie dla mnie te mirty hodował?

Gabryel. A jakże!

Salomea. Dziękuję. Gabrys mnie lubi i kwiatki lubi. Dla mnie nic Gabrys dobrego zrobić nie może, choćby i chciał, ale kwiatki hoduje z umiłowaniem, roz-taczając nad nimi pieczołowitość, jakby nad dzieć-mi. Ładnie u Gabrysia w chatce z temi i innemi wazonikami. Tylko czemu Gabrys jeszcze ptaków jakich, między kwiatami, w klateczkach nie trzyma? Ja tak lubię ptaszki... Sama chciałabym być pta-kiem?

Gabryel. Nie trzymam, bo mnie żal biedactwa. Pta-kiem w klatce męka okropna! I na co miałbym wię-

zić stworzenia boskie? Pod dachem kryje się przed zimą mnóstwo wróbli; ja im poślad przez okno sypię... Kiedy wysypię, to zlatują się prawie chmurą i dawaj ziarenka w plewach wyszukiwać, chwycić, nawzajem sobie odbierać... Czysta pociecha! Prawie jak pośród ludzi. Ale nasyczone odlatują i może po swoich ukrytych gniazdeczkach dziękują tej ręce, która je nakarmiła.

Salomea. W takim razie wróble są lepsze od ludzi, którzy Gabrysiowi nigdy zdaje się nie dziękują za to, że dla nich ze wszystkiego się ogłodził. Czy to prawda, że nie dziękują?

Gabryel. A prawda! (*Po chwili*). Czemu Salusia posmutniała?

Salomea (*z westchnieniem*). Żeby Gabrys wiedział, jak mnie czasem ciężko, ciężko, ciężko... (*Chwila milczenia*). Niekiedy to i wesoło mnie bywa, nawet cieśszą się... Co to? na takie gospodarstwo iść, w zgodzie być ze wszystkimi, u wszystkich w uważaniu... ale czasem znów, to myślę sobie: żeby ich dyabli wzięli za to, że oni zrobili mnie taką nieszczęśliwą, nieszczęśliwą! (*Chwyta się za głowę i biega po izbie*).

Gabryel (*nieśmiało*). Nie trzeba przeklinać...

Salomea. Ja jego nie chcę, nie chcę, nie lubię... (*uderza ręką w stół*) nienawidzę! nienawidzę! nienawidzę!

Gabryel. Kogo?

Salomea. A Cydzika tego!... Przyjeżdżał w ciągu upłynionych trzech tygodni trzy razy i siedział całymi dniami... Żeby on wskroś ziemi był poszedł, zanim tu u nas ze swatem się zjawił!... berbec ten,

smarkacz, niedojda... Kiedy on do mnie podchodzi, to mnie się zdaje, że ślimak lezie i nawet suknię swoją uchylam, aby jej nie dotknął. (*Odwraca się twarzą do okna i ręce nad głową załamuje*).

Gabryel (*mocno wzruszony, niespokojny*). To jakżeż?... to cóż z tego będzie? Przecież on przyszły mąż Salusi...

Salomea. Jeszcze nie wiadomo! (*Po chwili*). Żebym ja choć jaką wiadomość o Jerzym miała! żebym choć cokolwiek o nim posłyszała! Boże mój, Boże! jak ja przyjazdu Końcowej czekam... Tak jej czekam, jak nigdy niczego nie czekałam!

Gabryel. A na cóż Salusi Końcowa potrzebna?

Salomea (*niecierpliwie*). Gabrys! głupi i nic nie rozumie!... Ona pewno cokolwiek o nim wie, a może go i widziała; może on i przyjeżdżał do niej, ażeby dowiedzieć się, co to takiego stało się ze mną i z nami obojgiem.... Oj, co to stało się? co to stało się? ja i sama tego nie wiem i nie rozumiem.

Gabryel (*chwilę myśli, potem chwytą się obu rękami za głowę*). Jezus Marya! Jezus Marya! cóż z tego będzie? cóż z tego będzie?

Salomea. Gabrys! czemu ta Końcowa nie przyjeżdża?

Gabryel (*kręcąc głowę smutnie*). Albo ja wiem... Ha! cóż ona tu teraz poradzi? (*Słychać turkot*). Ot! zdaje się właśnie, że przyjechała... chybaby, że... (*Patrzy w okno*). Nie... Ona, ona sama... Życzeniu Salusi rychło stało się zadość... To ja tu już pewno niepotrzebny?... Pójdę, przyniosę kuferek i pudło, z którymi Końcowa rady sobie dać nie może, bo widzę

przed gankiem nie ma nikogo. (*Wychodzi. Po wejściu Końcovej wnosi kuferek i pudło i natychmiast oddala się*).

SCENA SZÓSTA.

SALOMEA, KOŃCOWA.

Końcowa (*wesoło*). Saluś! jak się masz?

Salomea. Anulko! Anulko moja! (*Rzuca się jej na szyję i całuje łkając*).

Końcowa. Czekał! daj pokój! udusisz! (*Do Gabryela, który przyniósł pudło i kuferek*). Gabryś! dziękuję. (*Do Salomei*). Salka! czemu ty beczysz?

Salomea. To z radości Anulko, z radości... Tak na ciebie czekałam, tak czekałam, jak na zbawienie duszy! Ty wiesz, jak ja ciebie kocham!

Końcowa (*która otwiera pudelko*). I ja ciebie, setnie. A patrz, co ci w prezencie przywiozłam. (*Wyjmuje suknię ślubną i welon*). Oglądaj, jedwabna... a przyjrzej się welonowi, jaki długi, jaki cienki... jak pajęczyna...

Salomea (*obojętnie*). Śliczny. (*Całuje ją w twarz trzy razy*). Dziękuję ci... jaka ty dobra!

Końcowa. Cóż ci to? cóżeś taka obojętna?... Sukni ślubnej, jaką ci kupiłam, w takim gatunku i w takim modnym fasonie nie miała i córka naczelnika powiatu, co w tych dniach wychodziła za mąż. Skrajała ją modniarka z Warszawy...

Salomea. Ja ci wdzięczną jestem... bardzo... bardzo... ale nie wiem jak dziękować... nie potrafię... nie umiem.. zwłaszcza, Anulko, że się twym przy-

jazdem tak ucieszyłam... tak ucieszyłam serdecznie...

Końcowa. Pięknie się cieszysz, kiedy lzy masz w oczach...

Salomea (*ocierając oczy*). To nic... to nic... Widzisz, już nie płaczę.

Końcowa (*kłęk przed kuferkiem i otwiera*). A i drobiazgów różnych ci nazwoziłam: chusteczek, pończoch, wstążek... i złotą broszkę, i łańcuszek. (*Szuka w kuferku*).

Salomea (*przysiada przy niej na podłodze i obejmuje ją za szyję*). Anulko!... słuchaj...

Końcowa. Słucham...

Salomea. Powiedz... gadajże, co się z nim dzieje? Co on tobie mówił? Czy bardzo desperuje? Czy okropnie na mnie narzeka? Czy zmizerniał? A co ty jemu powiedziała?

Końcowa (*ujęta*). Kto? Komu?

Salomea (*przedrżezniając*). Kto? Komu?... Jezus, Marya! jacy wy wszyscy niedomyślni! No, gadajże, Anulka, jeżeli Boga kochasz, gadaj! Ty o nim pewno wszystko wiesz? on do ciebie pewno przyjeżdżał?

Końcowa. Aaa! to o Jerzym mowa! (*Żegna się*). W imię Ojca i Syna, a jaż zkąd mogę cokolwiek o nim wiedzieć!? a jakimże sposobem?...

Salomea. Jakto zkąd? jakto jakim sposobem? czyż on u ciebie nie był?

Końcowa. Ani go widziały moje oczy, ani oczekiwałam jego przyjazdu, ani on też o przyjeździe pewno nie myślał!

Salomea (*z tajoną boleścią*). Nie myślał! (*Po chwili*). Ale list to najpewniej od niego miałaś?

Kończowa. Ani mru mru nie odezwał się do mnie.

Salomea (*załamuje ręce*). No, to gadajże przynajmniej, co o nim słyszałaś? Może chory? Może jeszcze wszystkiego między nami za skończone nie uważa? Czy bardzo rozgniewany?

Kończowa. Ani ja go widziałam, ani ja o nim słyszałam, ani mnie nawet w głowie powstało dowiadywać się o niego. Bo i po co już teraz dowiadywać się, kiedy on cudzym dla nas jest i cudzym na zawsze pozostanie, a może jeszcze i wrogiem.

Salomea (*oburzona*). Może on czym wrogiem jest, ale pewno nie moim! (*Obejmuje siostrę za szyję, całuje ją i pieści*). Prawdę mówisz, Anulka? czy prawdę mówisz? Nie widziałaś? nie słyszałaś? Moja najdroższa, moja ty miła, moja ty złotna, powiedz prawdę, powiedz!

Kończowa. A odczepź się ty odemnie ze swojemi głupimi zapytaniami i proszeniami! Co ja ci gadać będę? Nie widziałam, nie słyszałam, nie dowiadywałam się — i tyle! A i tobie już nie wczas dowiadywać się o niego, kiedy jutro ślub z drugim będziesz brała!

Salomea (*powstaje*). Oj! pękła tu jakaś nić, co mnie wiązała ze szczęściem!... Kiedy od ciebie nie dowiedziałam się niczego, to już od nikogo nic o nim nie usłyszę nigdy... nigdy... nigdy... Jak kamień do wody wpadł... i przepadł! Ambitny!... Ambicya większa w nim nad kochanie. Zaskalił się... i palcem

nawet nie kiwnął, okiem nie mrugnął. Jak do wody wpadł...

Końcowa (*która wciąż szuka czegoś w kuferku*). No! to i cóż?... Nie ma po kim płakać.

Salomea. Masz rację. Kiedy tak, to tak. Cóż robić? Skoro on o mnie nie dba, to i ja z tego bardzo kontentna, nawet się cieszę... (*Śmieje się przymuszonym śmiechem*) ...pokażę mu, że bez niego żyć mogę. Dobrze! Na weselu jutro tańczyć będę, że aż ha! aby potem siedząc na bogatym gospodarstwie wszystkiego dobrego kosztować i używać.

Końcowa. Otóż to... to właśnie!

Salomea. Jeżeli zaś kiedykolwiek w życiu go spotkam i zobaczę, pokażę mu miną i zachowaniem, że co on, to nie ja... że familia miała rację, nie chcąc mnie wydawać za człowieka wcale innego urodzenia i majątku. (*Zamyśla się*).

Końcowa (*powstaje*). Salka! jak ty mądrze mówisz! (*Całuje ją*). Moja ty złotna, moja ty siostrzyczko ukołchana! (*Skacze i klaszcze w dłonie*). Dziś twój dzień! Jaka ja kontentna, Saluś, że ciebie jutro mężatką zobaczę, że ty już upewnioną przyszłość będziesz miała, że wszystko tobie tak dobrze poszło!

Salomea (*zamyślona*). Jak kamień do wody!... jak kamień do wody!

Końcowa. Ja ciebie zawsze z całej familii najlepiej lubiłam. Ty dla moich bębnów taka dobra byłaś, gdy chorowały!.. To też cieszę się, bardzo się cieszę, że to już jutro twój ślub...

Salomea (*z gwałtownym krzykiem*). Jezus, Marya! jutro! już jutro!

Kończowa. Saluś! kochanie moje... co tobie?

Salomea (*tuli się do Kończowej, po twarzy i po rękach ją całując*). Ja nie chcę... ja nie chcę... ja tak prędko nie chcę!... Anulka, moja Anulko, moja ty droga, moja ty jedyna, ratuj mnie, dopomóż, powiedz Kostantemu, żeby odłożył. Poproś ty ich wszystkich za mnie, wstaw się, orędowniczką bądź moją... Kiedy Boga kochasz, kiedy dzieciom swoim szczęścia życzysz, ratuj!... Niech ślub odłożą... ja tak prędko nie chcę... nie chcę...

Kończowa (*przerażona i zdziwiona, tuli ją do piersi i pieści*). Mój Boże! mój Boże! co tobie, Salusia? Opamiętaj się; to czego żądasz, stać się nie może!

Salomea (*j. w.*). Och! ratuj... Ty masz u nich takie uważanie...

Kończowa. Czy sposób, aby dla głupich kaprysów taką partyę — i to w wigilię ślubu — odrzucać. Sama na to narażać się nie powinnaś, bo szkoda byłaby wielka, straszna szkoda... i wstyd i potępienie ludzkie, i wytykanie palcami...

Salomea (*j. w.*). Potem... później... jak się rozmyślę... ale jutro... tak prędko ja nie chcę...

Kończowa. Ależ kiedy wiem... kiedy upewniona jestem, że Kostanty nie zgodzi się na odłożenie twojego ślubu!

Salomea (*ze łzami, całując ją po rękach*). Ja proszę... błagam... ja ciebie, Anulka, bardzo proszę... Zlituj się...

Kończowa (*usuwając się — niecierpliwie i gniewnie*). Et! bo już daj pokój! Przestań! przestań, mówię, całować! Ja dla twoich niemądrych fochów z familią poróżnić się nie myślę. Chyba mnie za waryatkę poczytujesz, abym z czemś podobnem, tak nie wczas wystąpiła. A radzę ci — jak cię kocham — wybij sobie szaleństwa z głowy, bo jeżeli, broń Boże, jaką awanturę zrobisz i Cydzika od siebie odtrącisz, to ja sama, jak mnie tu widzisz, ja Kończowa, jak mi dzieci miłe, choć zawszem z tobą w największej przyjaźni żyła, wyrzeknę się ciebie, znać nie będę chciała i drzwi mego domu przed nosem ci zamknę. Masz wóz i przewóz! (*Wychodzi na prawo do bokówki*).

Salomea (*która pod gradem wyrazów siostry stała osłupiona*). Jak kamień do wody... jak kamień do wody wpadł!

SCENA SIÓDMA.

SALOMEA, GABRYEL.

Gabryel (*cichutko uchyla drzwi i wchodzi na palcach*). Pst! pst! Czy Salusia rozmówiła się z Kończową?... bo ja na to czekałem tam, przed chatą... Czy ona jaką radę dała?

Salomea. Jak kamień do wody...

Gabryel. Co? co?... co Salusia mówi?

Salomea (*dopiero teraz go spostrzega, rzuca się i tuli do jego piersi. Mówi szeptem*). Gabryś! Gabryś! ja nie chcę, ja nie mogę, ja umrę... Tak mnie tu boli!

Gabryel (z boleścią). Co boli?... co cię boli?... (*Nachyla usta swoje do jej czoła, jakby chciał pocałować, ale się wstrzymuje*). Salusia! moja ty droga... powiedz, co boli?

Salomea (j. w.). Ciągłe mi on przed oczami stoi... ciągle... ciągle... Ciągłe głos jego słyszę mówiący: „Nie dbaj o posag, czy ci brat da, czy nie da, ja ciebie w jednej koszuli wezmę i szczęśliwy będę!“... Taki on dobry był, tak mnie kochał... Co ja jemu zrobiłam! co ja jemu zrobiłam! że się nie odzywa... że nie napisał... że do Anulki nie przyjechał... co ja jemu zrobiłam, nieszczęśliwa!

Gabryel (*nie wypuszczając z objęć Salomei wznosi w górę oczy i wzdycha*). Zapomnisz... odżałujesz...

Salomea (*odskakuje od Gabryela i mówi z gniewem i oburzeniem*). Ani ja o nim zapomnę, ani ja go odżałuję... Gabryś głupi jest... Gabryś nic nie rozumie...

Pancewiczowa Zaniewska i Końcowa (*za sceną*). Salusia! Salusia! Salusia!

Salomea (*ze wstrętem*). Ot! już i wołają!... (*Po chwili*) Wiesz Gabryś...

Też same głosy (*za sceną*). Salusia! Salusia! Salusia!

Salomea. Wiesz Gabryś? Chcę... o! tak chcę wszystko im w oczy cisnąć i polecieć... polecieć... (*Wybiega*).

SCENA ÓSMA.

GABRYEL, potem DWIE DRUŻKI i KILKA DZIEWCZĄT
potem OKTAWIA i BARBARA.

Gabryel (*szeptem*). Głupi!... o, głupi! to prawda jest... Bo na co serce mam... a w sercu ona, ona... tylko ona!

Pierwsza družka (*Wchodzi głębia*). Mirt! mirt! gdzie mirt? Proszę nam dać mirtu!

Druga družka (*j. w. za nią dziewczęta*). Wczas trzeba wianuszek spleść i bukiecików nawiązać hurbę! hurbę!

Dziewczęta (*klaszczą w dłonie i wołają*). Hurbę! Hurbę! (*Gabryel podaje družkom wazoniki z mirtem*).

Pierwsza družka. A co Gabrys powie?

Gabryel (*zmieszany*) Ja?... nic. (*Dziewczęta wybuchają śmiechem*).

Druga družka. Czemu to Gabrys na dziewiczy wieczór krewnej i sąsiedki lepiej się nie ustroił?

Pierwsza družka. Dla czego Gabrys się nie żeni? (*Ciągną go i popychają, a dziewczęta się śmieją*).

Druga družka. Na takie pałace jak Gabrysia, pewno ochotniczek nie brakuje!

Pierwsza družka. Dla czego Gabrys mirty swoje oddaje? możeby się na własne wesele przydały!

Druga družka. A kiedy Gabrysia wesele nastąpi?

Pierwsza družka. Gabrys pewno jutro tańczyć z nami będzie! (*Dziewczęta ciągle się śmieją*).

Druga družka. Proszę ze mną do krakowiaka! (*Wchodzi Oktawia i Barbara, kończące ubieranie się*).

Dziewczęta (*klaszczą w dłonie i śmieją się*). I ze mną! i ze mną! i ze mną!

Pierwsza družka. Ale chyba Gabrys insze buty włoży, bo te rozlecą się, gdy tylko piętą ruszy!

Oktawia (*w staniku czarnym, a spodnicy białej. Czarną spodnicę trzyma jeszcze w ręku*). No, moje panny! tu porządku trzeba zrobić trochę... goście nie chybi, że

zaraz zjeżdżać się zaczęły. Niech jedna i druga to pudło i kuferek (*wskazuje na pudło i kuferok Końcowej*) wyniosą do bokówki i pod łóżko wstawią, a potem wszystkie razem furr!... jak ptaszęta... przed dom, gdzie szerzej i jaśniej, wianuszek pleść, bukieciki wiązać... (*Dwie dziewczyny wynoszą pudło i kuferok*).

Pierwsza družka. Dobrze pani. A Gabrysia można z sobą do roboty wziąć?

Oktawia (*śmiejąc się*). Czemu nie! jeśli przystanie.

Druga družka (*ciągnąc usuwającego się Gabryela z innymi dziewczętami, to za odzież, to za ręce*). Gabrys! proszę z nami!

Dziewczęta. Prosimy! prosimy! do wesołej panieńskiej kompanii!

Druga družka (*do Oktawii i Barbary*). Kiedy nie chce iść!

Barbara (*czesząc włosy i układając je na głowie*). To już my na to wam nie poradzimy!

Pierwsza družka. Ostawcie go; przecież to głupi Gabrys, ani do roboty, ani do zabawy. Chwytajcie za mirty... i dalej za drzwi!

Druga družka. Bo trzeba zawczasu wianeczek spleść i bukiecików nawiazać hurbę! hurbę!

Dziewczęta. Hurbę! hurbę! (*śmiejąc się wybiegają*).

Gabryel (*szepcząc*). Pani Pancewiczowo! (*Idzie za Oktawią, która kurze ściiera i sprząta i meble ustawia*).
Pani Pancewiczowo!

Oktawia. Niech Gabrys tu się nie płacze i do sprzątania nie przeszkadza.

Barbara (*czeszcząc włosy*). Gabrys mógłby przed dom pójść sobie.

Gabryel. Pani Pancewiczowo!

Oktawia (*zatrzymuje się i przez głowę wdziewa na siebie czarną spodnicę*). No, czego?

Gabryel. Chcę coś ważnego powiedzieć.

Oktawia (*kończąc ubieranie się*). Przecież stoję... i słucham.

Barbara (*układając włosy*). I ja.

Gabryel (*szeptem*). Niech pani Pancewiczowa dobrze popatrzy na Salusię i zobaczy, jak ona wygląda i do czego zrobiła się podobna...

Oktawia (*niecierpliwie*). Albo co?

Gabryel (*j. w.*). A to, że ja pani Pancewiczowej, jako starszej siostrze, mówię i ostrzegam, aby, broń Boże, jakie nieszczęście z tego nie wyniknęło.

Barbara. Jakie nieszczęście? z czego?

Gabryel. Dla Salusi, z tego małżeństwa. Ona Cydzika nie chce, a tamtego odżałować...

Oktawia (*przerywa*). Co Gabrys plecie? czego Gabrys do nie swoich rzeczy się miesza?

Barbara. Czego Gabrys tu przyszedł czas nam darmo zabierać?

Oktawia. Niech Gabrys ze swoją głupotą...

Gabryel (*przerywa*). Ja głupi, to prawda jest... (*z boleścią*) bo wszyscy mi to mówią. Jednakowoż niektóre rzeczy może lepiej od rozumnych postrzegam i pani Pancewiczowej, równie jak i pani Zaniewskiej mówię, że ślub Salusi odłożyć trzeba, albo i ze wszystkim Cydzika odprawić...

Oktawia (*drwiąco*). A Gabrysia na jego miejsce postawić przed ołtarzem?

Barbara (*szyderczo*). Aby dobrana para była!

Gabryel (*zakrywa oczy rękami, ale szybko je opuszcza i mówi głośniej, stanowczo*). Bo ona nie ze wszystkim taka, jak insze; ona swoją wolę i śmiałość ma; jej bieda jaka stać się może, a na sumienie familii grzech padnie.

Oktawia. No, to niechaj pada, a Gabrys niech już sobie ztąd idzie, bo my na gadanie z głupimi czasu nie mamy!

Barbara. Ot! ruszył konceptem! Widać dla tego, że sam tak dobrze wykierował się na świecie, to i drugim rady dawać chętny. Tylko, że nie każdy lubi w dziurawych butach, czy też trzewikach chodzić.

Gabryel. Ostrzegam! (*Wychodzi*).

Oktawia (*wzruszając ramionami*). Wiadomo, głupi Gabrys!

Barbara (*pogardliwie*). Co taki rozumnego wymyślić zdoła!

SCENA DZIEWIĄTA.

Siz sami. EMILIA. SALOMEA potem MICHAŁ, potem KOŃCOWA, potem KONSTANTY, PANCEWICZ i ZANIEWSKI.

Emilia (*wchodzi trzymając pod rękę Salomeę, zamyśloną i bardzo bladą, mówi jej do ucha nieco zniżonym głosem, przerywając wyrazy śmiechem*). Michał to mnie tak kocha, ale to tak kocha, że ludzkie wyobrażenie przechodzi!... Ot! powiada, że nie ma nademnie na całym świecie piękniejszej i przyjemniejszej kobietki.

(*Prowadzi ją do krzesła i siada obok niej*). Kiedy pierwszy raz po ślubie wziął mnie w objęcia i pocałował tu... ot, tu... (*pokazuje szyję*) to na mnie ognie uderzyły, cała się ponsem oblałam, a on... (*chichocząc się, zaczyna szeptać do ucha. Salomea odsuwa się od niej*). Nie chcesz słuchać! krzywisz się jak piątek na niedzielę. No, to już nic ci nie powiem. A bo i nie potrzeba; wprędce sama się o wszystkim dowiesz. (*Michał wchodzi. Emilia zrywa się i biegnie do niego*). Słuchaj, Michał! chciałam Salusi mówić... (*Kończy dalej szeptem, całując go i chichocząc. On jej wtóruje głośnym śmiechem*).

Salomea (*zadumana — do siebie*). Więc mnie przypadnie w udziale z Cydzikiem... z tym kołkiem, niedostała trawę, z tym ślimakiem... żyć w takim przybliżeniu, o jakim Emilka opowiada! (*Pogrąża się w dumanie*).

Kończowa (*która przed chwilą weszła, staje przy Salomei*). Salka! (*Salomea milczy zamyślona*). Saluś! co tobie jest? Odezwij-że się choć słówkiem, bo aż straszno na ciebie patrzeć! (*Salomea milczy. Wchodzi: Konstanty, Pancewicz i Zaniewski*).

Konstanty. Słysząc dzwonki na drodze od strony Cydzików-Wielkich.

Pancewicz. Albo pan Onufry jedzie, panie dobrodzieju, albo pan młody z družbantami...

Zaniewski. I ze swatem, panem Kazimierzem Jaśmontem.

Pancewicz. Należy uszykować się przystojnie na powitanie, panie dobrodzieju. Tu brat i siostry... (*Ustawia Oktawie, Barbarę, Konstantego*). Michał! Emilka!

jako strzecni, także blisko stać powinniście! Pani Kończowa, prosimy... tu, tu stanąć należy, między siostrami...

Kończowa (*całując Salomeę w czoło*). Saluś! słyszysz... już jadą. (*Salomea milczy*). Nie pójdziesz?

Pancewicz. Jej, jako pannie, nie przystoi. — Już zajeżdżają! (*Bierze za rękę Kończową i prowadzi do ustawionej grupy*). Pani Kończowa, proszę... obok siestr, panie dobrodzieju. No, cała familia razem. A teraz... czekajmy!

SCENA DZIESIĄTA.

CIŻ SAMI, WŁADYSŁAW CYDZIK, JAŚMONT, DWÓCH DRUŻBÓW potem MŁODZIEŻ i PANNY.

(*Drzwi otwierają się, a w nich ukazują się: Cydzik, Jaśmont i dwaj drużbowie. Cydzik w czarnym surducie, na szyi krawiec biały z dużą kokardą, kamizelka kolorowa w jaskrawe kwiaty, srebrny gruby łańcuch u zegarka. Narzuconą ma na ramiona burkę, na głowie czapkę barankową, w ręku trzyma duży przedmiot okrągły, osłonięty białym płótnem. Jeden z drużbów zdejmuje mu czapkę z głowy, drugi z ramion burkę*).

Wszyscy czterej przybyli. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Dobry wieczór państwu!

Cała rodzina (*prócz Salomei*). Na wieki wieków. Witamy!

Jaśmont. Oto przyjeżdżamy po klejnot nam przyobiecany, wielkiej drogocności. O gościnę prosimy, a jutro odjedziemy z tem po cośmy przyjechali w wielkiej wesołości. — Czy wolno wejść?

Oktawia *(bardzo poważnie)*. Pięknie prosimy.

Barbara *(j. w.)*. Prosimy... prosimy bardzo.

Kończowa *(j. w.)*. Wejść proszę.

Konstanty *(j. w.)*. Czem chata bogata, tem rada!

(Jaśmont szturka w bok Cydzika, który zbliża się do Oktawii, podając jej przedmiot trzymany w rękach, poczem wszystkie trzy siostry i Emilkę całuje po rękach, a mężczyznom ściska dłonie. Jaśmont i drużbowie witają się także z wszystkimi. Oktawia odstania podany sobie przedmiot. Ukazuje się ogromny pieróg, białym lukrem polewany i gęsto natkany cukrowymi jagodami, grzybkami i kwiatkami. Wszyscy przyglądają się pierogowi z wykrzyknikami podziwu i zachwyty: oho! ooo!).

Oktawia *(wznosząc pieróg w górę)*. O! jaki śliczny!

Barbara. Cudny!

Kończowa. I babka wielkanocna okazalszą być nie może?

Emilia *(do Michała)*. Musi być smaczny i słodki jak pysio mego Michała! *(Całują się)*.

Pancewicz. Nie lada jakim panem młodym być potrzeba, panie dobrodzieju, żeby do domu panny młodej z takim kosztownym pierogiem przyjechać!

(Oktawia ostentacyjnie niesie pieróg i ustawia go na stole. Salomea nie rusza się z miejsca).

Konstanty. Nie tylko z pieroga, który jest co się zowie bogaty i wspaniały, ale z promocyi, jaką czynią nam mili goście, cieszy się serce moje. Proszę... proszę panów do kanapy, bo kiedy bieży, to bieży, a gdy padnie, to leży.

Cydzik (*do Oktawii*). A gdzie panna Salomea? Pragnąłbym jej rączki ucałować.

Jaśmont. I ja także, bo jakby to było, aby w dziewiczy wieczór, takiego kwiatka ślicznej krasy, nie uczcić atencją!

Druźbowie. I my... i my!

Oktawia (*która przysłała do Salomei, szturcha ją, aby powstała. Mówi szeptem*). Nie patrz tak sępem. Wstań! (*Salomea powstaje. Naprzód całuje ją w rękę Cydzik, potem Jaśmont, potem druźbowie. Cydzik wpatruje się w nią, jak w obraz cudowny. Ona ciągle milczy*).

Końcowa (*do Jaśmonta*). Jakaś dziś nie swoja... trochę nadąsana...

Jaśmont. E! jutro to wszystko przejdzie.

Zaniewski. Panieńskie fochy przedślubne!

Konstanty. Babskie bzdurstwa! Głupi byłby, ktoby dbał o to! Fiu! fiu! fiu!

Pancewicz. Na to skromność panieńska przez Boga jest stworzona, panie dobrodzieju, aby panny po swoim wianeczku, i nie utraciwszy go jeszcze, lamentowały! Oho! ja to wiem. (*Wchodzi: Adam Strupiński, Leon Wiercillo, młodzież okoliczna, drużki i inne dziewczęta*). Ale prosimy siadać... uprzejmie prosimy. (*Wszyscy siadają*).

Oktawia (*uderzając się w czoło*). A!... gąski z pieca wyjmować trzeba! (*biorąc Salomeę za rękę*) Gąski z pieca wyjmujemy! (*Po cichu*). Salusia, masz rękę zimną jak kawał loku!

Salomea. To nic, to nic. Idźmy gąski z pieca wyjmować!

Barbara. Chodźmy! chodźmy! bo spalą się na węgiel!

Końcowa. Wyjmijcie prędko i tu zaraz przynieście w koszu. (*Oktawia, Barbara i Salomea wychodzą do bokówki*).

Michał (*wraz z Emilią zbliża się do Cydzika, wpatrującego się w drzwi bokówki, w których zniknęła Salomea*). No! panie Władysławie, wprędce staniemy się już krewnymi. (*Konstanty częstuje starszych miodem. Goście piją i rozmawiają podzieleni na grupy*).

Cydzik (*roztargniony*). A tak... jutro.

Emilia. Czemu pan Władysław tak się wpatruje w drzwi od bokówki?

Cydzik. Bo... bo za niemi, bo za niemi...

Emilia (*wybuchając śmiechem*). Oktyna i Basia!

Cydzik (*jąkając się*). Nie... nie one...

Emilia. To jest są i one; ale ja wiem, panu Władysławowi tylko o Salusię chodzi.

Cydzik. A tak, a tak... to jest prawda.

Emilia. Czy ją pan Władysław bardzo miłuje?

Cydzik. Och! bardzo!

Michał. I kiedyż to kochanie w sercu się wzięło?

Cydzik. Od razu!... jak mi tylko pokazano pannę Salomeę i powiedziano, że żoną moją zostać może.

Konstanty (*zbliża się z butelką miodu; za nim Pancewicz z kieliszkami na tacy*). W ręce pana młodego. (*Wypija*). Niech nam żyje!

Michał i Emilia. Niech żyje!

Cydzik (*wypija*). Na podziękowanie!

Konstanty. Jeszcze jeden kieliszek. (*Nalewa*).

Cydzik. Bóg zapłać! (*Wypija*). Miód stary, dobry. (*Konstanty idzie dalej i częstuje innych gości*). Aż mi w głowie zaczmyrało nieco!... bo to z panem Jaśmon-

tem wypiliśmy w drodze, w jednej i drugiej karczmie, po parę kieliszków gorzałki.

Michał i Emilia. Niech będzie na zdrowie!

Cydzik. Od jednego spojrzenia na pannę Salomeę, całą duszą zapragnąłem, aby się stała moją dozgonną towarzyszką, moją żoneczką... A kiedy po pierwszym naszym tu przybyciu otrzymałem harbuza, to mi tak stało się przykro, tak na wewnątrz boleśnie, smutno i markotnie, że wypowiedzieć tego nie zdołam.

Emilia (z uśmiechem). Jednak fantazyi i nadziei pan Władysław nie stracił.

Cydzik. Przez całą drogę do Bohatyrowicz w ramię i w ręce pana Kazimierza Jaśmonta całowałem, prosząc i jęcząc, aby od zamiaru pojechania z drugimi swatami nie odstępował i aby cokolwiek takiego zrobił, coby Salusię... to jest pannę Salomeę... do przyjęcia ich skłoniło.

Michał. No! przyjechaliście... i za drugim razem powiodło się.

Cydzik. Dzięki Bogu!... Bo ja, proszę państwa, nigdy przedtem żadnej młodej panny z bliska nie znałem, do żadnej się nie zalecałem... i nie wiedziałem, a nawet nie myślałem o tem, w jaki sposób najskuteczniej czynić to należy. (Smutnie). Ba! jeszcze i teraz nie wiem.

Emilia (śmiejąc się). Zapytaj mego Michała, on doskonale umie i pewno nauczy.

Michał (śmiejąc się). Ostro! bez upamiętania... Z miejsca do niej, choć się broni!

Cydzik. Eeee! pan Michał żartuje!

Michał. Jak Boga kocham prawda!

Emilia (*śmiejąc się*). Tak, tak... to prawda jest. Niech pan Władysław uwierzy i spróbuje!

Cydzik. E! czyż?...

Michał (*obejmuje żonę i całuje*). O! tak!

Emilia (*zaraz po wejściu Salomei, Oktawii i Barbary*). A ot! gąski, gąski!... (*klaszcze w dłonie*) i herbata z rumem!

(*Wchodzi Salomea, z koszem gąsek, czyli ciastek pięknie zarumienionych w kształcie podługowatych bułeczek. Rozdaje je gościom, zaczynając od najstarszych i najponiższych. Ci dziękują. Niektórzy mężczyźni w ręce ją całują, kobiety w twarz. Za Salomeą, Oktawia i Barbara roznoszą na tacach gorącą herbatę z rumem. Cydzik prawie od wejścia Salomei, chodzi za nią jak cień, w którą tylko uda się stronę. W czasie tej krętaniny bierze z tacy jedną szklankę herbaty z rumem i wypija ją duszkiem*).

Cydzik (*na str.*). Dobra.... Ale już mi coś nie coś czmera w głowie... pewno od gorzalki, miodu... i tej oto herbaty z rumem... Wszystko się w około kręci... kręci... a serce niby młot wali i wali... (*Chodzi znów za Salomeą i stara się od czasu do czasu dotknąć to jej ręki, to ramienia, to włosów. Przy jednym z zawrotów, następuje jej na suknię. Ona zachwiała się, o mało nie upadła*).

Salomea (*gniewnie i opryskliwie*). Czego pan Władysław chodzi za mną, jak ciele za krową! Proszę się i ludziom nie plątać się pod nogami! (*Cydzik zmieszany siada skromnie na krzeselku*).

Emilia (*do Michała*). Ucięła go, jak osa!

Zaniewski (*do Pancewicza*). Oj! weźmie go ona w kluby, weźmie, aż strach! (*Słyszać turkot i tentent za sceną*).

Leon. Ktoś przyjechał!

Adam (*patrzając przez okno*). Pan Onufry Cydzik, ojciec pana młodego!

Konstanty. A tak pan Onufry. Kiedy bieży, to bieży, a gdy padnie, to leży.... Chodźmy wszyscy przed dom powitać tak wielce pożądanego i oczekiwanego gościa. (*Do Jaśmonta*). Panie Kazimierzu, czy zgoda?

Jaśmont. I owszem, i owszem... zwłaszcza, że tu okropnie gorąco. Człowiek chętnie odetchnie świeżem powietrzem.

Pancewicz. Rodzica pana młodego i takiego patriarchę okolic naszych, panie dobrodzieju, z miódkiem w rękę przed chatą witać należy.

Wszyscy (*prócz Cydzika i Salomei*). Tak, tak! Dobrze! Zgoda! Czemu nie! A jakże!

Konstanty. Prosimy więc, prosimy. (*Wszyscy prócz Cydzika i Salomei wychodzą, ceremoniując się przy drzwiach*).

Pierwsza drużka. Salusia, daj wstążeczek! już nie ma ani kawałeczka.

Druga drużka. A jeszcze bukiecików trza nawiązać hurbę, hurbę... bo to i dziś pewno jaki taki na wesele przyjedzie i jutro insi się zjawią.

Salomea (*wyjmuje z komody wstążeczki i daje*). Macie! (*One ją całują*). Idźcie już, idźcie; ja tam zaraz do was pośpieszę. (*Drużki wychodzą. Za sceną słyszać*

gromkie powitania, zdrowia wznoszone, rozhower głośny. Zaczyna się nieco ściemniać. Salomea przykłąku przed komodą, wyjmuje z niej serwetę, którą rozściela na podłodze, wkłada w nią trochę odzieży i papiery, potem związuje z tego wszystkiego tłomoczek. Wydobywa portmonetkę; rachuje w niej drobne pieniądze i chowa do kieszeni. Wtem Cydzik, który dotąd spokojnie siedział, powstaje i na palcach po cichu zbliża się do Salomei, która go nie widziała i nie widzi).

Cydzik *(z pałającymi oczami).* Tak Michał radził... a Emilka mówiła, żebyś spróbował! Spróbuję! *(Zbliża się do Salomei z tyłu, obejmuje ją za szyję i całuje. Salomea zrywa się na równe nogi. Gwałtownym ruchem mu się wyrывa i staje pod ścianą).*

Salomea. A toż co?... Czy to pięknie takie napaści czynić?

Cydzik *(przysuwa się znowu do Salomei i za rękę ją chwyta).* Przecież jutro już ślub nasz będzie... to dziś można choć pocałować... *(Chce ją objąć i pocałować).*

Salomea *(popycha go, Cydzik się zatacza).* Jeszcze my nie po ślubie! jeszcze nie wiadomo co jutro będzie!

Cydzik *(gniewnie).* Jakto niewiadomo? Owszem wiadomo, że Salusia jutro moją żoną zostanie i co każe to będzie robiła, bo przed ołtarzem posłuszeństwo zaprzysięgnie.

Salomea *(wybuchając).* A! niedoczekanie twoje, abyś ty miał moim panem być i swoją wolę na mnie wywierać! *(Zrywa z palca obrączkę i rzuca tak, że pada pod kanapę).* Na! — masz. Za swoje bogactwa inszą

niewolnicę sobie kup. Między nami... już wszystko skończone! *(Cydzik schyla się i szuka obrączki pod kanapą. Salomea zarzuca chustkę na ramiona, bierze tłómaczek przed chwilą związany i idzie do otwartego okna na lewo).* Dla ciebie Jerzy wyrzekam się wszystkiego swego... i wszystkich swoich! Dla ciebie sierotą bez rodziny i chaty zostaję! Dla ciebie, wszystko za siebie cięskam i rozłączam się może na wieki z tem, do czego oczy przyzwyczajone były a serce przylgnęło! Ale ty mnie wszystko zastąpisz, wynagrodzisz, zapłacisz, mój ty najdroższy! *(W chwili kiedy staje na krześle, aby z niego za okno wyskoczyć, Cydzik obraca się, spostrzega to i biegnie ku niej z wyciągniętymi rękami).*

Cydzik. Salusiu!... o! o! panno Salomeo!

Salomea. Milcz! cicho bądź!... Nie ruszaj się z miejsca! Między nami... już po wszystkim! *(Wyskakuje oknem. Cydzik jak skamieniały pozostaje na miejscu. Chwila milczenia).*

Cydzik *(nagle oprzytomniały, woła przeraźliwie).* Panie Jaśmont! panie Jaśmont!... ona uciekła!

(W drzwiach ukazują się: Jaśmont, Konstanty, Onufry Cydzik, Pancewicz, Zaniewski, Michał i cała młodzież szlachecka).

(Zasłona spada).

AKT PIĄTY.

Noc księżycowa. — Z prawej strony, na drugim planie, dworek Kuleszy w Łaskowie.—Front długi od ogrodu. Okna rzęsiście oświetlone. Drzwi parapetowe. — Kłoby krzewów. Drzewa owocowe. — W głębi płot, w środku w części rozebrany. — Na żerdziach wiszą sieci rybackie. — Za płotem rzeka.

SCENA PIERWSZA.

SŁUŻBA DWORSKA, WŁOŚCIANIE, WŁOŚCIANKI.

(*Wszyscy pod oknami dworu.*)

Parobek. W dużej sali jedzą dziś weselną wieczerzę, bo gości huk zjechało.

Dziewka. W jadalnym pokoju, co od ganku, nie pomieściliby się pewno.

Włościanka. A stół, jak ślicznie przybrany! Ile kwiatów!

Włościanin. Placki, ciasta... wino, piwo...

Parobek. Raz, dwa, trzy... pięć... dziesięć... dwadzieścia... trzydzieści osób!

Dziewka (*do włościanki*). Ten stary, siwy, to chłop, prosty chłop, tak jak i wy... i my wszyscy... ociec pana młodego. A ta mała staruszką, z twarzą ciemną, pomarszczoną, to jego matka.

Włościanin. Niech im Bóg da zdrowie!... a i panu Kuleszy też, że dziecko rodzone i ukochane za syna chłopskiego wydaje.

Parobek. Ten tam na rogu stołu, co powstał i kieliszek w rękę trzyma, to pan z panów, Horosz, dziedzic na trzech wsiach...

Dziewka. A ten co ma brodę jasną, długą, aż na piersi... to plenipotent księcia.

Parobek. Ten młody... ot! tam...

Dziewka. Z czarnym wąsikiem... ładny...

Parobek. To rządcą całego klucza.

Włóścianka. A ci z lewej strony?

Parobek. Pierwszy—ekonom; drugi—pisarz... tuż za nim gorzelany...

Dziewka. I różni, różni oficjaliści! Ten wysoki, z czupryną w górę podczesaną, trzyma się prosto, jakby kij połknął, to komisarz księcia. Przywiózł od jaśnie oświeconego śliczny prezent dla panny młodej... takie coś ze złota i z brylantów...

Włóścianka. No, no... dobry pan, dobry.

Dziewka. Przy naszej pani Kuleszowej i przy Karolce żona ekonoma i trzy córeczki... Fiu! fiu! jak to postrojone! na kosach czerwone kokardki!

Parobek. Kiedyż się wystroić, jeśli nie na wesele! Hanka na swoje także się wystroi.

Dziewka. Jak będę miała w co.

Parobek (*śmiejąc się*). Ludzie postarają się, żeby było w co...

Dziewka (*obrażona*). Ja tam nikogo o nic nie proszę!

Włóścianka. A ot muzyka wchodzi: basy, skrzypców dwoje i klarynet!

Parobek. Wstają... Pan młody Awrelkę w usta pocałował.

Dziewka. A i w rączkę też... Ale on jakoś nie bardzo wesoly...

Włóścianka. Stół wynoszą...

Dziewka. Bo pewno tu będą tańczyć!

SCENA DRUGA.

CIZ SAMI, SALOMEA.

Salomea (*wchodzi niespokojna i bardzo zmęczona*). Na dziedzińcu ciżba ludzi, cisnących się do oświetlonych okien. Jakaś musi być uroczystość, zjazd wielki. Wrota od stajni otwarte, konie rżą, latarki migocą, furmani się zwijają... Chciałam jednego z nich zapytać: gdzie mieszka pan nadleśny i jakim sposobem z nim się zobaczyć można?... ale wstyd mnie zdjął i jakaś obawa ogarnęła. Z listów Jerzego wiedziałam, że mieszkał dawniej w oficynie, ale skoro się do niej zbliżyłam, zmiarkowałam odrazu z wielkiego światła, bijącego od ognia palącego się na kominie, że tam teraz musi być kuchnia, albo piekarnia. (*Po chwili, ocierając pot z czoła*). Dostałam się do tego ogrodu przez furtkę z dziedzińca. (*Spo-gląda przed siebie*). Ale i tu ludzie cisną się do okien!... Jak go odszukać!... Taki mnie lęk przejmuje, i tak się czegoś wstydzę... (*Po chwili*). Zmęczona jestem... strasznie zmęczona! Co zrobić, aby dowiedzieć się gdzie on się znajduje i zobaczyć się z nim zaraz. (*Idzie do jednego z okien, przesuwając się lekliwie między ludźmi i mówiąc ciągle*). Przepraszam... przepraszam... przepraszam...

Parobek. Nie ma za co przepraszać. Niech panienska sobie stanie... o, tutaj... ztąd dobrze widać.

Salomea (*patrzy chwilę, potem okropnie zmieszana przybiega naprzód sceny*). Co to? co to? co to?... Panna młoda... wesele! Jerzy przy niej siedzi!... Czego on

przy niej siedzi?... Może starszym družbantem jest, a w tych stronach taki zwyczaj, że pannie młodej starszy družbant na godach weselnych asystuje... Dziwny zwyczaj, dziwny zwyczaj! (*Zbliża się znowu do grupy stojącej pod oknem i pyta*). Moja pani, czyje to wesele?

Włościanka. Córki posesora, pana Kuleszy.

Salomea. A za kogoż ona wychodzi?

Włościanka. Za tutejszego nadleśnego, Jerzego Chutkę.

Salomea (*odskakuje i chwytą się za głowę*). Boże! co ja słyszę!

Włościanka (*do dziewczki*). Ma dziwne oczy... i sama jakaś nieprzytomna!

Dziewka. Nie znam jej... pewno obca.

Salomea (*na przodzie sceny, do siebie, szeptem*). Nieprawda! nieprawda! nieprawda! nieprawda! (*Po chwili zbliża się do grupy stojącej pod oknem i pyta*). Czy już po ślubie?

Parobek. A ma się rozumieć! Nawet wieczerzę zjedli, to już widać po ślubie.

Dziewka. Godzin z pięć jak powrócili z kościoła. (*Salomea odchodzi i przygnębiona upada na trawnik*).

Salomea (*trzymając głowę w obu dłoniach*). Jerzy! Jerzy! Jerzy! mój Jerzy!... Nic nie widzę, nic nie czuję, tylko zdaje mi się, jakby kto tu (*wskazuje na czoło*) wewnątrz, ognistymi literami wypalił twoje imię! (*Słychać muzykę grającą dziarskiego mazura. Salomea zrywa się na równe nogi*). Jezus, Marya! jego wesele! Jezus, Marya! Jezus, Marya! jego wesele!

Dziewczyna. Szykują się do tańca!... Pan młody z naszą Awrelką na przedzie.

Salomea. Co ja teraz pocznę? gdzie ja teraz pójdę? gdzie ja się teraz podzięję? co ja teraz pocznę?

Włościanka. Wszyscy młodzi wzięli się za ręce i zatoczyli niby duże koło.

Salomea (*marząc*). Nikogo już swego nie mam na całym świecie! Sama jedna... sama jedna w ciemnościach świata błądzę... błądzę... błądzę. Ani tu pozostać, ani gdziekolwiek pójść. — Ha! iść ztąd trzeba... ale nie ma dokąd! I sił już nie mam do niczego... do niczego!... Ze szczęściem w sercu, po tej nużącej drodze, którą od wczoraj przebyłam, pewniebym i skakała może, ale teraz ustać na nogach nie jestem w stanie. (*Mimowiednie przyklęka*).

Parobek. Ho! ho! ho! jak siarczyście przytupują!

Salomea. Teraz ciemno, to dobrze, ale kiedyś przecie rozwidnieje... a wtedy co? (*Zrywa się*). Pójść sobie?... a gdzie?... (*Postępuje parę kroków*). Już nawet i iść nie zdołam. Nogi mam jak podcięte; drżą i uginają się ku ziemi. Jeżeli nie pójdę, zobaczą mnie, znajdą, dowiedzą się wszyscy, że leciałam do niego... leciałam do niego... jak waryatka, jak ulicznica ostatnia... leciałam i przyleciałam na jego wesele, z inszą, z drugą. (*Po chwili*). Jak ta muzyka gra! jak ta muzyka gra!... (*Z tłumionym w piersi krzykiem*). On tam tańczy!... on tańczy! on tańczy!... a ja tu tak blisko, w ciemności umieram z bólu i rozpacz. Jaki ten świat okropny! jaki ten świat okropny! Po co ja się rodziłam! (*Bierze głowę w obie ręce*).

dziewka. Oj! pięknie, bo pięknie tańczą!

Salomea. Żeby choć ta muzyka grać przestała! Ale gra, gra, gra... Z za oświetlonych okien wylatuje jak rój os... opada mnie, kole, szczypie, kąsa, do waryacyi doprowadza! Boże mój! Boże! ja zwaryuję. (*Biega, jakby się ukryć chciała. Nagle spostrzeya sieci wiszące na płocie*). Sieci! sieci! sieci! (*Staje nad rzeką*). Ryby tu łowiono. Tu musi być głęboko!... Łódeczka do kolka uwiązana. — Tu musi być głęboko!... Na wesele ryby łowiono!... Teraz jedna ryba wpadnie do wody... wpadnie i zniknie... i nikt nie dowie się nigdy, że tu byłam... nikt nie dowie się, gdzie się podziałam. (*Pochyla się nad rzeką*). Wiem już teraz gdzie pójdę! wiem gdzie ucieknę! wiem gdzie schowam się na wieczne czasy! (*Wraca naprzód sceny, patrząc się w oświetlone okna*). Tańcz, Jerzy! bądź szczęśliwy, wesóły... Żegnam cię na zawsze!... tańcz, tańcz bezemnie! Ja sobie pójdę... pójdę... i nigdy już nie wrócę... nigdy nie powrócę... na wieki sobie pójdę...

SCENA TRZECIA.

CIŻ SAMI i GABRYEL.

Gabryel (*wpada zdyszany*). Salusia! (*Chwyta ją za ręce i mówi szeptem*). Jesteś... znalazłem cię nareszcie!... (*Odwraca się ku oknom*). Nie patrz!... tam już po wszystkim! po wszystkim! w miejskim kościele ślub brali.

Salomea (*w jego objęciach, marzącym, prawie sennym głosem*). Gabryś... Gabryś... Gabryś...

Gabryel. Przystanąwszy na rynku w miasteczku, że by koniowi wytchnąć, dowiedziałem się, że już po wszystkim. W miejskim kościele ślub brali. Jezus Marya! przeląknęłam się na tę wiadomość... a tu koni osłabł, prędko iść nie chciał. Prędzejbym już piechotą doszedł, ale jakim sposobem ciebie-bym mógł zabrać, gdybym konia i wózek ostawił!

Salomea (*tymże samym tonem co wyżej*). Dobry Gabrys, ty o mnie jeden pamiętał.

Gabryel (*jedną ręką ją przytrzymuje, drugą kładzie jej na głowę i z rozczuleniem w twarz jej się wpatruje*). Biedna ty!... Srogo ty już na ubocz zesła... dla strasznie krótej ścieżki gościniec opuściła... Saluś! Saluś! coś ty zrobiła?

Salomea (*jakby nagle przytomność odzyskała, stara się rękę jego wyrwać swoje ręce*). To mnie puść! Co zrobiłam, to zrobiłam... moja rzecz! moja bieda! Już bym była naprawiła wszystko, gdybyś mnie nie zatrzymał!... Zkądżeś ty się tu wziął? co cię tu przyniosło? Puść!

Gabryel. Zkąd ja się tu wziął?... Ilu ich tam jest: Kostantego, Oktynę, Cydzika, Jaśmonta, wszystkich... wszystkich zwiódłem, kiedy rzucili się ciebie szukać... W drugiej stronie cię szukali, bo ja im powiedziałem, że do ciotki Steczkowskiej pobiegłaś... Potem przekonali się, że nieprawda, całą okolicę przetrząsać zaczęli, a ja jeden tylko wiedziałem, gdzie ty poleciała... ja jeden wiedziałem...

Salomea. Jak?... zkąd?...

Gabryel. Zgadłem. Cicho zaprzągnęłam konika do wózka, bo pomyślałam sobie: albo ci wszystko dobrze

pójdzie, to uspokoję się i pocieszony do chaty powrócę, albo, broń Boże, zły przypadek jaki, to ku pomocy stanę... A tu, ot jaki przypadek! (*Salomea zaczyna gorzko płakać*). I potrzebną okazała się moja pomoc, a jaką ona będzie: słuchaj!... Teraz ty taka biedna, że już i ja odważę się radę tobie dać... już i moja rada dla ciebie dobra. Nie trza, żeby żywa dusza dowiedziała się kiedykolwiek, że ty tu byłaś. Na wózek ze mną sidziesz, a ja cię lasami zawiozę do młyna, do mojej siostry. Ona mnie wdzięczność winna, a ja jej nawet prosić nie potrzebuje, aby ciebie przystojnie przyjęła. Każę i posłucha. A potem... potem pojedę do Końcowej z prośbą, aby ci wybaczyła... i wzięła do siebie. Ona wybaczy pewno, weźmie cię... W mieście się rozweselisz, robotę jaką sobie wynajdziesz, dobry los może spotkasz... Tak ja sobie, w drodze myśląc, wszystko ułożyłem... i tak będzie!... Chodź na wózek... sidziesz i pojedziemy!

Salomea. Nie chcę! nie chcę! nie chcę!... nigdzie jechać nie chcę! Tu pozostanę, gdzie on jest! (*Wyrzywa się i biegnie ku rzece*).

Gabryel (*ją chwytą, przyprowadza na przód sceny i patrzy badawczo w oczy*). Salka! ty do wody chciałaś wskoczyć! utopić się?

Salomea. No! to cóż?... Pozostanę, gdzie on jest? Puść! (*Wyrzywa się*).

Gabryel. Nie puszczę!... Ja głupi, ale rozumiem dobrze, co zrobić pragniesz!... Nie puszczę!

Salomea (*klęka przed nim*). Gabrys! kochany, miły, drogi, złotny... puść!

Gabryel. Daremnie prosisz...

Salomea. Nieszczęśliwa jestem, Gabryś, bardzo nieszczęśliwa!

Gabryel. Ja tu przyjechał umyślnie, aby ciebie od wszelkiego złego przypadku uchronić, ja z twoich oczu widzę, co zamierzasz...

Salomea. Już do wody nie skoczę... nie... nie skoczę... tylko tam... tam... pod okno pójdę... raz jeden na niego spojrzę... jeden raz jeszcze, ostatni... a potem z tobą pojadę. Puść!

Gabryel *(tonem stanowczym)*. Nie trzeba serca daremnie szarpać! Nie trzeba!

Salomea. Tylko raz... raz jeden spojrzę...

Gabryel *(j. w.)*. Nie trzeba nasuwać się ludzkim oczom... One zdrajcami być mogą! Świadczyć kiedyś będą, żeś tu była... żeś do niego przyleciała...

Salomea. Puść! puść! *(Wyrzyna się z rąk Gabryela, biegnie całym pędem i rzuca się do rzeki)*.

Gabryel. Jezus, Marya! ratunku!... Kto w Boga wierzy, ratunku! *(Biegnie i rzuca się za Salomeą do wody)*.

Wieśniacy *(naprzód zmieszane głosy; potem jęki)*. O! o! o! Skoczyła do wody!... Na sam wir trafiła!... Kto?... Ta co tu stała... co do okna podchodziła... Człowiek jakiś za nią płynie... Czy ją pochwyci?... *(Jeden z wieśniaków odwiązuje łódź i płynie za tonącymi)*. Dobrze, Janie... dobrze... Oni tam... tam... na lewo... Śmiało!... odważnie!... Nieszczęście!... nieszczęście!

SCENA CZWARTA.

CIŻ SAMI, KULESZA, JERZY, MIKOŁAJ CHUTKO, AU-
RELIA, GOŚCIE WESELNI; potem KONSTANTY, WŁA-
DYSŁAW CYDZIK, JAŚMONT, ONUFRY CYDZIK, PAN-
CEWICZ, ZANIEWSKI, MICHAŁ i SZLACHTA ZAŚCIAN-
KOWA.

Kulesza (*wychodzi z domu*). Co znaczą te krzyki?...
co to jest? co się stało?

Dziewka. Jakaś młoda dziewczyna...

Parobek. Nie... panna... w sukni...

Wieśniaczka. Tu razem z nami stała, ale niby nie
swoją, nieprzytomna...

Dziewka. Patrzyła, patrzyła... aż nadszedł jakiś
szlachcic... z nim gadać zaczęła...

Parobek. A potem nagle porwała się... i buch do
wody!

Dziewka. A ten drugi, co z nią gadał, dalej za nią...
także wskoczył do rzeki.

Kulesza. I cóż? i cóż?... mówcie na miłość Boską!

Włościanka. Wir ją porwał... pewno utonęła.

Jerzy (*wchodzi z Aurelią, opierając się na jego ramie-
niu*). Utonęła!... Kto utonął?

Kulesza. Mówią, że jakaś młoda kobieta.

Włościanie (*głosy zmieszane*). A ooo! Bywaj, bywaj!
Jan ich na łódź wyciąga... On żyw... stanął na no-
gi!... Ale ona... Omdlała, czy umarła?... Bieda!
bieda!

(*Po tych krzykach chwilowa cisza. — Łódź przybija do brze-
gu. — Gabryel i Jan wynoszą martwe ciało Salomei na
brzeg i niosą naprzód sceny*).

Jerzy. Boże? Salomea! ona! (*Rzuca się na ziemię, zakrywa oczy i płacze*).

Kulesza. Cucić!... Prędzej... żwawo... rozesać tu siermięgi... położyć ją na ziemi. (*Zgromadzeni spełniają jego rozkazy. — Księżyc rzuca światło na twarz Salomei*).

Mikołaj Chutko (*który badał puls Salomei*). Nie ma dla niej ratunku... Nie żyje... ja się na tem znam... To już tylko martwe ciało; dusza uleciała do nieba.

Aurelia (*klęka i modli się*). Przenajświętsza panienko, ulituj się!... A światłość wiekuista... (*Kończy szep-tem. — Wpada szlachta z Konstantym, obu Cydzikami, Pancewiczem, Jaśmontem, Zaniewskim i Michałem na czele. — Uzbrojeni w strzelby, widły, kosy*).

Konstanty. Oddaj nam siostrę chamie... oddaj łotrze, uwodzicielu, bo kiedy bieży to bieży, a gdy padnie to leży. U mnie tak... Oddaj, bo śmiercią ukarzę!

Kulesza. Kogo wam oddać? czy tego trupa?

Konstanty. Salusię! siostrę moją... mnie przez rodziców przyporęczoną, oddać musicie.

Szlachta. Tak! tak!... oddać... inaczej my...

Kulesza. Patrzcie ludzie ślepi i zapamiętali!

Konstanty (*dopiero teraz spostrzega ciało Salomei. — Z boleścią*). Salusia! umarła!... Kto ją zabił, kto?

Kulesza. Ty! (*Wskazując na otoczenie Konstantego*). ...i wy! Wy wszyscy. Oto smutna ofiara waszych przesądów... i cheiwości. (*Dość długa chwila milczenia*).

Konstanty opiera się na ramieniu Zaniewskiego.

Cydzik (*klęka, chwytą rękę Salusi i całuje*). O, ja nie-
szczęśliwy! nieszczęśliwy!

Jerzy (*z drugiej strony ciała*). Biorę Boga i ludzi na świadków, żem nie ja jej śmierci przyczyną!

Gabryel (*który klęknął nad ciałem Salomei i spokojnie w jej twarz się wpatrywał, robi gest, jakby ich od niej oddalał*). Ani ty... ani ty... żaden z was nie winien... żaden całą duszą jej nie kochał, choć naprzód jeden, potem drugi byliście narzeczonymi! Ja tylko... ja głupi... miłowałem ją bez granic... O! za jeden dzień, za chwilkę jedną spędzoną z nią serce przy sercu, oddałbym ostatnią kroplę krwi mojej. Więc wy się tu nie mieszajcie... ona nie wasza... ona usnęła. (*Głaszcze ją po głowie*). Spij! odpocznij sobie po mece!... Spij, Salusia! odpocznij na wieki!

(*Zasłona spada*).

KONIEC.



144v/2/8806A

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

197838



Biblioteka WSP Kielce



0067921